

PRZERWANY SEN GRUPY OAS

Wersja robocza scenariusza

Mężczyzna podnosi się z pozycji klęczącej. Zmaltretowany, wygłodzony, rozgląda się dookoła. Nie od razu lokalizuje miejsce odzyskiwania pełni świadomości. Terrorysty porzucili go na komunalnym śmietniku.

- Bardziej już mnie upokorzyć nie mogli - konstatuje z goryczą.

W podręcznej torbie znajduje kartkę, na której nieznany autor napisał tekst mający charakter ulotki, ozdobiony charakterystycznym mottem z Apokalipsy świętego Jana:

*I kłaniali się onemu smokowi,
który dał moc bestyi, kłaniali się też bestyi,
mówiąc: któż podobny bestyi?
któż z nią walczyć może?*

Ogłaszamy utworzenie Organizacji Anty-Solidarność.

Nieudolna ekipa Jaruzelskiego i zurzędniczała безпеaka nie potrafią zwalczyć raka toczonego nasze społeczeństwo - konspiracji i mody na opozycję. Solidarność jest tym rakiem. Spróbujemy odpowiedzieć na pytanie z Apokalipsy - z bestią walczyć możemy my.

Gra rozpoczęta. Będziemy uderzać wszędzie tam, gdzie nie jesteśmy oczekiwani. Będziemy występować pod szyldem różnych instytucji, może i TKK Solidarność.

Strzeżcie się. Na razie daliśmy próbkę naszych możliwości.

Grupa Kierownicza OAS

Regionu Pomorza i Kujaw.

SYNKA STRACIŁŚ, MOŻESZ STRACIĆ CÓRKĘ

Jest 10 lutego 1984 roku. Piotr Hryniewicz zmierza ulicą Grunwaldzką w kierunku Świętego Józefa. Przy krawężniku chodnika zatrzymuje się samochód Nysa w kolorze żółtopomarańczowym. Nagle z wnętrza pojazdu wyskakuje dwóch mężczyzn. Jednym z nich jest Marek Kuczkowski, znany mu wcześniej oficer toruńskiej Służby Bezpieczeństwa.

- Cześć Piotrek. Chcę z tobą porozmawiać - mówi.

Nie czeka jednak na odpowiedź. Zanim Hryniewicz zdołał w jakikolwiek sposób zareagować, obaj mężczyźni gwałtownie chwytają go pod ręce i wpychają do auta, które zaraz rusza. Zakładają mu kajdanki a na oczy szalik.

- Ręce między nogi! - poleca stanowczym tonem Kuczkowski.

Około czterdzieści minut później, auto zatrzymało się przed bramą wjazdową ośrodka wczasowego toruńskich Zakładów Włókien Chemicznych ELANA w Kijaszkowie. Porucznik

otworzył drzwi jednego z blisko trzydziestu domków. Drugi porywacz obszukał Hryniewicza, a następnie wyprowadził z samochodu.

- Uważaj! Stopień! - ostrzegł.

- Poczułem chłód i strach. Początkowo myślałem, że wprowadzają mnie do dużego samochodu przystosowanego do przewożenia więźniów. Ale myliłem się. Wprowadzili mnie do domku. Usadzili w fotelu.

- W co ty się wpierdalasz, człowieku?! - usłyszał nagle ten sam głos. - Za to, co robisz, masz już niczym nie wyjęte cztery lata!

Ton groźby sprawił, że Hryniewicz mający wciąż skute ręce i zasłonięte oczy odruchowo się skulił. Spodziewał się uderzeń. Z oczu zdjęto mu szalik. Cywile wcale nie kryli, że są z SB. Po zdjęciu wierzchnich kurtek, paradowali z pistoletami P-64 w kaburach na specjalnych szelkach.

- Stąd już nie wyjdiesz - oznajmił kolega porucznika.

- O co wam chodzi? - dopytywał. - To chyba pomyłka.

- Nie, głupi palancie! Nie ma żadnej pomyłki! .

Mieli doskonałą orientację w jego aktualnej sytuacji życiowej i zawodowej. Wiedzieli nie tylko, że on, historyk z uniwersyteckim dyplomem magisterskim, pracuje w POLCHEMIE jako robotnik magazynowy, lecz również i to, że właśnie złożył wypowiedzenie.

- Jesteś skończonym durniem - kpili. - Twoi idole z SOLIDARNOŚCI przeważnie siedzą sobie wygodnie za granicą. Nabijasz kieszenie politycznym graczom, którzy śmieją się z takich osłów, jak ty. Ale - co tam. Jak będziesz mądry, to też będziesz mógł wyjechać.

Hryniewicz milczał. Nie wiedział, czego porywacze oczekują, chociaż coraz natarczywiej, agresywniej pytali o szczegóły dotyczące pracy konspiracyjnej. Kto, gdzie i jakie drukuje ulotki? Kto nagrywa audycje radia SOLIDARNOŚĆ? Jakie są najbliższe plany liderów toruńskiego podziemia solidarnościowego? Raz po raz rzucali nazwiska znanych mu osób.

- Nie, nie przypuszczam, żeby osoby te obecnie zajmowały się działalnością polityczną - powiedział. - To postacie za bardzo znane z okresu legalnego działania.

- Pierdu, pierdu! Ciemnoty nam nie wciskaj.

Oczekiwali, że nie tylko potwierdzi zakazaną działalność konkretnych osób, ale i przyzna, że sam z nimi ściśle współpracuje, kolportując drukowane w podziemiu wydawnictwa. Zaprzeczał, więc terroryści zapowiedzieli, że niebawem odjadą, a jego skują kajdankami, przywiążą do drzewa i samego pozostawią w lesie.

Zaczęli markować wyjazd. Hryniewicz nie reagował. Terroryści rozszerzyli repertuar gróźb.

- Posłuchaj, palancie. W Polsce rocznie ginie bez wieści około dwustu osób. Możesz być jedną z nich. Nasze możliwości są nieograniczone. Niczym. Pod każdym względem. Myśl! Myśl!...

Hryniewicz nadal milczał. Wtedy uderzyli w najczulszy jego punkt:

- Jedno dziecko już straciłeś. Nie daję ci to do myślenia?... Zapomniałeś, że masz jeszcze córkę? Może na niej ci nie zależy? Wyobraź sobie, że przejedzie ją samochód. Niechcący. Rozumiesz?! A wiesz, co się następnie stanie?! Przyturlasz się do nas na kolanach. Będziesz skamlał o litość. I powiesz nam, co tylko będziemy chcieli od ciebie wiedzieć.

Nazajutrz małżonce zrelacjonował szczegóły porwania:

- Jestem załatwiony - zrekapitulował.

Kilka dni chodził niczym obłąkany.

- Straciłeś już jedno dziecko...

Słowa te starał się wyrzucić z pamięci, ale natrętnie powracały.

- Boże, co robić?...

Przed stanem wojennym miał etat w Zarządzie Regionu NSZZ SOLIDARNOŚĆ. Czuł za sobą siłę potężnej organizacji. Działając w podziemiu, mógł liczyć na wsparcie przyjaciół. Nagle poczuł się niezwykle osamotniony. Sam na sam ze słowami zapowiadającymi przerażającą wizję:

- Straciłeś już jedno dziecko...

Małżonkowie podejmują decyzję o oficjalnym zawiadomieniu prokuratury.

- Nie uczyniłem tego od razu - wspomina Hryniewicz. - Zwlekałem. Co tu dużo mówić: ze strachu. Wciąż wahałem się. Nie wierzyłem, że prokuratura przeprowadzi rzetelne śledztwo, jeśli podam, że porwali mnie funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa.

OTRZYMAŁEŚ WYROK ŚMIERCI

Gerard Zakrzewski, rocznik trzydziesty siódmy, zatrudniony od 1955 roku w Toruńskich Zakładach Przemysłu Nieorganicznego POLCHEM, jednej z największych fabryk w regionie. Po pierwszych wyborach w 1980 roku - wiceprzewodniczący Komisji Zakładowej NSZZ SOLIDARNOŚĆ. W stanie wojennym nie został internowany, więc prowadził utajnioną działalność związkową. Zajmował się także kolportażem bezdebitowych wydawnictw. Tajna grupa terrorystów z bezpieki uprowadziła go z parkingu przed domem.

Nyska ruszyła. Trasy przejazdu nie widział, bo na oczy założyli mu moherowy szalik. Samochód, jakieś pół godziny później, zjechał z szosy. Porwany zorientował się, że przemieszczają się po nierównej nawierzchni. Nie trwało to długo. Najwyżej pięć minut. Auto

zatrzymało się.

- Słuchaj, gnoju, co cię czeka. Wiemy, że dwa lata prowadziłeś bezczelnie działalność podziemną, a więc łamałeś prawo socjalistycznego państwa! Myślałeś, że bezkarnie, ale się przeliczyłeś! Za twoje przestępstwa jest tylko jedna kara! Otrzymałeś wyrok śmierci! I teraz, gnoju, nadszedł czas jego wykonania! Zrozumiałeś, ty przestępcu?!

Zrazu nie przeraził się agresywnym zachowaniem napastników. Te groźby wydawały mu się początkowo absurdalne, jakieś wręcz irracjonalne. Starał się zachować spokój i ponownie wyraził przypuszczenie, że zaszła chyba jakaś pomyłka.

- Panowie, co wy? Nie pytaliście mnie nawet o nazwisko. Ja przecież nazywam się Zakrzewski. Ja nie otrzymałem żadnego wyroku. Ja nic o tym nie wiem... To bezprawie zabijać kogoś bez wyroku.

- O tym, czy coś jest zgodne z prawem czy nie, na pewno nie będziesz decydował teraz ty! Musisz wiedzieć, że rokrocznie ginie w Polsce bez wieści niezliczona liczba ludzi. I ty będziesz kolejnym zaginionym. Jak ciebie tu zostawimy, to nikt cię nie odnajdzie nawet po smrodzie. Rozumiesz?! Nikt!

Pogróżki raz wydawały mu się całkiem realne, to znowu wątpił w ich spełnienie. Znowu starał się przekonać dręczycieli o zaistniałej pomyłce.

- Nie ma żadnej pomyłki! Wyrok jest właśnie na ciebie! Łamałeś prawo socjalistycznego państwa, a teraz tu skamlesz, skurwysynu?!

Na plecach poczuł ucisk jakiegoś twardego przedmiotu. W kontekście powtarzanych gróźb wykonania wyroku śmierci, nie miał wątpliwości, że przystawiają mu do pleców lufę pistoletu.

- Jesteś wierzący?

- Jestem.

- To pomódl się przez śmiercią.

- Panowie...

- Módl się!

Ciemny, jednostajnie szumiący las, rozpościerający się wokół, potęgował narastanie atmosfery grozy. Skuty kajdankami, z zasłoniętymi oczami, bezbronny, skazany na łaskę i niełaskę nieznanym drabów wymachujących co rusz pistoletami, śmiertelnie przerażony, autentycznie się bał, że oto nadeszły ostatnie chwile jego życia.

- Błagam was - próbował prosić raz jeszcze. - Darujcie mi życie, panowie.

- Milcz, psie! Skamlenie i tak ci nic nie pomoże!

- Patriotą to ty nie jesteś! Działasz na szkodę naszego państwa!

- Udowodnimy ci, w jakim kościele spotykasz się z łącznikami. Jak się nie przyznasz,

to nic cię nie ochroni przed czapą. Nie masz co marzyć, że wyjedziesz stąd żywy... Rocznie ginie jakieś dwieście osób, więc ty możesz być osobą dwieście pierwszą. Nam wszystko wolno. Musisz wiedzieć, że żadne prawo nas nie obowiązuje.

- Nawet jak mnie zabijecie, ktoś mnie kiedyś znajdzie - rzekł niespodziewanie dla siebie, ale, prawdę mówiąc, bardziej zrezygnowany, niż zdesperowany.

- Co z tobą?! Na co ty gnoju jeszcze liczysz?! Zamiast straszyć, błagaj o litość! - zaśmiał się szyderczo jeden z mężczyzn.

Polecili mu napisać oświadczenie o podjęciu współpracy ze Służbą Bezpieczeństwa. Z prawej ręki odpięto mu kajdanki. Ze strachu i zimna druga ręka mu się trzęsła, więc kajdanki uderzały o blat stolika.

- Przestań do cholery! Przestań dzwonić, bo wyprowadzasz mnie z równowagi! - krzyczał najbardziej agresywny terrorysta.

Dyktował najwyższy wzrostem. Po kilku zdaniach, Zakrzewski odłożył długopis.

- Nigdy nie byłem zdrajcą, więc nie mogę nim zostać teraz - zreflektował się. - Wolę już śmierć.

Odsunął od siebie kartkę papieru z częściowo już napisanym oświadczeniem, nagle i powiedział najspokojniej jak potrafił:

- Nie, panowie. To koniec. Nie napiszę nawet jednego słowa więcej.

Jakby poruszył lawinę. Nigdy w życiu nie słyszał tylu wulgaryzmów, przekleństw i gróźb w tak krótkim czasie. Wreszcie jeden z terrorystów wziął do dłoni pistolet i rzekł z udawaną nonszalancją:

- Szkoda naszego czasu. Trzeba z nim skończyć.

PORWANA SPOD KRZYWEJ WIEŻY

2 marca 1984 roku, Zofia wychodzi z biura, jak zwykle, około piętnastej dwadzieścia. Idzie lewym skrajem jezdni, tuż obok wąskiego chodnika. Nieopodal Krzywej Wieży, zauważa stojącego na ulicy Fiata 125p. Obok lekko uchylonych tylnych drzwi stoi mężczyzna. Zastępuje jej drogę i pyta:

- Pani nazywa się Jastrzębska?

- Tak. A o co chodzi?

- Wejdzie pani do samochodu - mówi nieznajomy, jednocześnie chwytając ją za lewe ramię i popychając silnie w kierunku auta.

- Ratunku! - woła napadnięta. - Pomocy!

Daremnie. Napastnik siłą wpycha ją na tylne siedzenie fiata, wsiada za nią, zatrzaskuje

drzwi.

- Obok kierowcy siedziała kobieta w blond peruce, a na tylnym siedzeniu jeszcze jeden mężczyzna. Właśnie na jego kolana przechylili mi głowę, jednocześnie zatykając usta. Ręce błyskawicznie spięli kajdankami. Na głowę założyli jakiś worek.

Auto zatrzymało się w lesie. Terrorysty wyciągają kobietę na zewnątrz, ale nie rozkuwają. Przeciwnie.

- Z workiem na głowie podprowadzili mnie do drzewa i za pomocą drugich kajdanek do niego przykuli. Chwilę później gdzieś się oddalili. Boże! Jaką ja wtedy miałam galopadę myśli. Strasznie mi było żal, że sama umrę w tym lesie i nikt nie będzie wiedział, w jaki sposób to się stało. Zadręczałam się powracającą myślą: dlaczego oni to ze mną robią. Po jakimś czasie słyszę, że zbliża się dwóch ludzi. Oj, myślę, to już chyba po mnie. Zaraz zginę. Łzy. Chyba ciekły mi łzy... Tak - ja ciągle się bałam, że oni mnie w tym lesie zabiją. Ktoś wyjął mi z ust knebel.

Mężczyźni zaczynają rzucać luźne słowa, jakby hasła: Drukarnia! Podziemie! Powielacz!...Jednocześnie padają nazwiska ludzi z toruńskiej SOLIDARNOŚCI - Krystyny Kutty oraz Stanisława Śmigła.

- Ja nic nie wiem! - woła płacząca kobieta.

Strwożona, odczułam pewną ulgę, kiedy niespodziewanie, bez słowa odczepili mnie od drzewa i usadzili w samochodzie.

Auto ruszyło. Podróż trwa krótko. Kilka minut. Teraz wchodzą do pomieszczenia. Zawilgoconego. Przesłona oczu nieco się zsuwa, więc Zofii udaje się dostrzec bordową wykładzinę na podłodze, krzesło i stół. Na blacie stołu zapalona świeczka.

- Widziałas film Ojciec chrzestny? - pyta jeden z prześladowców.

Zofia potwierdzająco kiwa głową.

- Pamiętasz, jakie bohaterowie stosowali metody ułatwiające mówienie prawdy? Dobrze ci radzę - przypomnij sobie dokładnie.

Boże, myślę, do czego oni zmierzają?... Ponieważ dręczą mnie i maltretują psychicznie, zaś w sensie fizycznym nic mi nie robią, odnoszę irracjonalne wrażenie, że boję się jakby mniej. Pojawia się zubożenie. Oswojenie. Nachodzą mnie chwile myślowego odrętwienia. Czuję coraz większe zmęczenie.

- Przejdziemy się - mówi nagle jeden z mężczyzn.

Ręce młodej kobiety uwalniają z kajdanek. Bez słowa przeprowadzają do znajdującego się nieopodal pawilonu.

- Przemarzałam. Źle się czuję, bo cierpię na zapalenie pęcherza. W mojej torbie jest lekarstwo. Czy mogłabym je otrzymać?

- Dobrze - słyszy kobiecy głos.

Tabletki dostaje chwilę później. Ktoś zdejmuje jej z głowy worek-torbę. Pozwalają nawet, by położyła się na jednym z tapczaników. Oczy przesłaniają na nowo.

- Teraz jest przy mnie kobieta w blond peruce i granatowym sweterku, którą zauważyłam w aucie w momencie uprowadzenia. Ani nie maskuje, ani nie ukrywa twarzy. Spod peruki momentami wystają jej ciemne włosy. To ona podaje mi lekarstwa i prowadzi do ubikacji. Przejmuje rolę przesłuchującej. Jest obcesowa. Stawia bardzo intymne pytania. Pozwala sobie na beczelne uwagi.

- Jesteś w ciąży?

- Nie.

- To szkoda. Gdybyś była w ciąży, mielibyśmy ułatwione zadanie.

- Jak to?

- Zwyczajnie. Wtedy łatwiej byłoby wpłynąć na twojego narzeczonego.

I dalej:

- Wy się kochacie, prawda?

- No, tak.

- Zamierzacie się pobrać?

- Tak.

- No to ja się dziwię twojemu narzeczonemu. Skoro wy się kochacie i zamierzacie się pobrać, dlaczego on zajmuje się nielegalną działalnością.

Nadchodzi późna noc. Terrorystka pozwala Zofii się położyć. Po czym wygłasza dłuższy monolog na temat niezgodnego z prawem postępowania Antka.

- Słuchaj, a nie wiesz, jak on by się zachował, gdyby dowiedział się, że jesteś torturowana? - pyta zaskakująco, z miną słodkiej idiotki.

- Nie. Nie wiem jakby się zachował.

- No widzisz. Nie można być pewnym zachowania nawet kogoś bliskiego. Ale ja to bym nie chciała za nic przeżyć tego wszystkiego, co ciebie, tu jeszcze jako kobietę czeka.

SPRAWA, KRYPTONIM HYDRA

Antoni Mężydło jest absolwentem Politechniki Gdańskiej, gdzie studiował w latach 1973-78, uzyskując dyplom magistra-inżyniera elektronika. Ponadto uzyskał absolutorium z fizyki na Uniwersytecie Gdańskim.

U schyłku lat 80 XX wieku, współpracował z Komisją Interwencji KSS KOR, którą kierował Zbigniew Romaszewski. W kwietniu 1980 r., zatrzymany przez toruńską Służbę

Bezpieczeństwa w związku z posiadaniem nielegalnych wydawnictw. Od 1 marca do końca września 1981 roku pracował na stanowisku koordynatora Ośrodka Kultury Społecznej w Zarządzie Regionu NSZZ SOLIDARNOŚĆ w Gdańsku. Co najmniej pięciokrotnie zatrzymywany przez Służbę Bezpieczeństwa w związku z kolportażem ulotek. Później wyprowadził się z Wybrzeża i rozpoczął studia filozoficzne na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim.

Po wprowadzeniu stanu wojennego ukrywał się. W sierpniu 1983 roku podjął pracę w Toruniu. Miejskowa Służba Bezpieczeństwa знаła jego przeszłość opozycyjną. Nie wszczęto wprawdzie przeciwko niemu żadnego oficjalnego postępowania, tym niemniej pozostawał w kręgu osób, którymi tajne służby żywo się interesowały.

Znany był również jako specjalista z dziedziny poligrafii i kolporter literatury bezdebitowej. Jedną drukarnię prowadził samodzielnie, drugą wspólnie ze wspomnianym przyjacielem - Stanisławem Śmigłem, który 31 lipca 1982 roku opuścił miejsce internowania. Byli współtwórcami niezależnego wydawnictwa Kwadrat. Mężydło znał niektórych działaczy także toruńskiej opozycji.

W styczniu 1984 roku, założono w Wojewódzkim Urzędzie Spraw Wewnętrznych sprawę operacyjnego rozpracowania pod kryptonimem Hydra. Celem podjętej operacji było rozpracowanie siatki kolporterów nielegalnych wydawnictw. Wydział III WUSW zamówił w Wydziale „B”, tak zwanym obserwacyjnym, akcję śledzenia grupy konspiratorów. 10 lutego 1984 r. w Wydziale III SB w Toruniu, założono przeciwko Mężydłu SOR pod kryptonimem Prymus. Dotyczyła jego działalności w nielegalnych strukturach NSZZ SOLIDARNOŚĆ.

28 lutego 1984 roku, przekazano Wydziałowi III komunikat, z którego wynika, że Mężydło był cały miesiąc skrupulatnie śledzony. W operacji uczestniczyło w sumie kilku tak zwanych wywiadowców pieszych, jak i poruszających się samochodami. Ścisłej - obserwację konspiratora z reguły rozpoczynano od momentu zakończenia pracy w toruńskich Zakładach Radiowo-Telewizyjnych ZARAT.

Figurant domyślał się, że jest obserwowany przez tajne służby. Nie zdawał sobie jednak sprawy ze skali uruchomionej przeciwko sobie machiny śledczej.

2 marca 1984 roku, grupa funkcjonariuszy przejmuje obserwację Mężydły w momencie opuszczania zakładu pracy, znajdującego się w lewobrzeżnej części miasta. Dwie ekipy wywiadowców śledzą go z wyposażonych w radiostacje dwóch Fiatów 125p. Nadto Prymusa przejmuje wywiadowca Zdzisław Witczak, prowadząc obserwację pieszą.

Antoni zakończeniu pracy - nie przeczując niczego złego - postępuje jak zazwyczaj. Autobusem MPK jedzie na prawy brzeg Wisły. Zmierza do stołówki uniwersyteckiej. Po

obiedzie, udaje się po narzeczoną. Jednak nie spotyka jej w umówionym miejscu. Zaniepokojony jedzie autobusem w kierunku domu, w którym mieszka dziewczyna. Antoni wysiada na pierwszym przystanku przy ulicy Żwirki i Wigury.

Wspomniany „wywiadowca spieszony”, ani na moment nie traci z pola widzenia obiektu obserwacji. Przestrzegając profesjonalnych zasad konspiracji, obowiązujących funkcjonariusza sekcji obserwacyjnej, śledzi Mężydłę z odległości kilkudziesięciu metrów.

Widzi, że w momencie, gdy obserwowany mężczyzna przechodzi obok stojącego na ulicy Konfekcyjnej samochodu Nysa, zagradza mu drogę dwóch lub trzech mężczyzn. Dochodzi do krótkotrwałej szarpaniny. Wszyscy mężczyźni nagle znikają z pola widzenia wywiadowcy. Nysa odjeżdża.

Zdzisław Witczak nie jest zaskoczony. Wie, że Prymusa zatrzymali funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa z tej samej jednostki, tylko z innego wydziału. Zgodnie z planem tajnej operacji.

- Nie. Personalnie kolegów nie rozpoznałem - powie później. - Było za daleko.

OBAWIAŁAM SIĘ, ŻE MNIE ZABIJĄ

Świt, 3 marca 1984 roku. Prześladowcy przerywają sen Zofii i polecają napisać do narzeczonego, żeby powiedział wszystko, co wie, bo grozi jej śmiertelne niebezpieczeństwo. Na czas pisania zdjęto jej z oczu szalik. W pomieszczeniu zobaczyła dwóch mężczyzn i kobietę w blond peruce.

- Na głowach naciągnięte pończochy. Marynarki czy kurtki jakoś nienaturalnie powypychane. Monstrualne postacie. Przeżywam kolejny szok. Ponownie wpadam w stan zubożenia i rezygnacji. Piszę, co mi dyktują.

Pozdejmowali kurtki. Jeden jest w czarnym golfie, drugi w zielonym, a na wierzchu ma pomarańczową koszulę. U obu kabury z pistoletami.

- Napisany przeze mnie list-apel do Antka zabrali i wyszli z pokoju. Położyłam się. Blond-peruka zaproponowała posiłek. Wypiłam herbatę, a potem kawę. Następnie zjadłam kromkę chleba z masłem. Kilka godzin później odbyło się ponowne przesłuchanie. Pytania identyczne jak poprzednio. Z zachowania mężczyzn wywnioskowałam, że Antek jest w tym samym budynku, tylko w innym pomieszczeniu. Twierdzili, że jest twardy, a mój apel nie odniósł żadnego skutku. Wtem do moich uszu zaczęły dochodzić dźwięki muzyki, brzęk szkła i krzyki oraz odgłos jakby lanej na kogoś wody. Torturują Antka, pomyślałam i się rozplakałam.

Blond-peruka tymczasem parokrotnie wchodzi do pokoju w porozpinanej bluzce.

Każde wejście poprzedza dochodzące zza ściany skrzywienie oraz głos, który wydawał mi się należącym do Antka, powtarzający: Nie! Nie! Odbierałam to jako inscenizację scen erotycznych z jego udziałem w celu wywołania we mnie uczucia zazdrości.

Odgłosy dobiegające z sąsiednich pomieszczeń napępniały mnie niepokojem i trwogą o los Antka i mój. Czułam się wycieńczona psychicznie i potwornie zestresowana.

Trudno mi powiedzieć, po jakim czasie, z pewnego odrętwienia wyrrywają mnie ponownie ci sami dwaj mężczyźni. Na stole kładą kartkę z tekstem-apelem do Antka. Włączają magnetofon i jeden z nich poleca:

- Czytaj!

Dygotę ze strachu i posłusznie wykonuję polecenie. Kiedy skończyłam czytać - odtwarzają nagranie. Nie są zadowoleni. Twierdzą, że nagranie wypadło nienaturalnie. Powtarzam tekst. Teraz są bardziej zadowoleni. Zabierają taśmę i wychodzą z pokoju.

Niedziela. Wczesnym popołudniem oczy ponownie zawiązali jej szalikiem, na głowę włożyli czapkę, doprowadzili do samochodu i usadzili na tylnym siedzeniu.

- Ruszamy - powiedział mężczyzna sprawiający wrażenie dowódcy.

Celu podróży nie wyjawili. Milczeli. Zatrzymali się po trwającej kilkadziesiąt minut jeździe.

- Wychodź - usłyszała.

Wyszła. Samochód odjechał. Zsunęła z oczu szalik. Stała na asfaltowej szosie. Po obu stronach rósł las. Nie było widać żadnych zabudowań. Zdezorientowana, ruszyła przed siebie. Napotkani chłopcy poinformowali ją, że las graniczy z toruńską dzielnicą Wrzosa. Wskazali kierunek drogi do przystanku autobusowego.

Do domu dotarła około piętnastej. Niezwłocznie udała się do mieszkania koleżanki-sąsiadki Elżbiety Ornowskiej. Dowiedziała się, że Antoni jeszcze nie wrócił. Zaczęła płakać, potem spazmatycznie szlochać.

- Elu, jęgo tak strasznie biją - powtarzała zdenerwowana.

Wyczerpana fizycznie i psychicznie, dopiero mniej więcej po dwóch godzinach, doszła do jakiejś takiej równowagi. W miarę zbornie zaczęła relacjonować wydarzenia, w których przyszło jej uczestniczyć od popołudnia 2 marca 1984 roku.

Idąc 2 marca 1984 roku ulicą Konfekcyjną, Męzydło spostrzegł stojący przy krawężniku chodnika pomarańczowego koloru samochód marki Nysa. Odruchowo patrzy na numer rejestracyjny. Utrwała mu się w pamięci, że są w nim litery WLG oraz cyfry 4 i 8. Dochodzi bliżej i z boku zauważa napis: Firma polonijna. Nagle doskakuje do niego trzech mężczyzn. Jeden zachodzi mu drogę z przodu, krzyjąc:

- Milicja!

Jedną ręką błyskawicznie łapie go za kurtkę, podczas gdy drugą ścisną fachowo gardło. W tym samym momencie dwaj pozostali - niżsi od krzyżącego - chwytają Mężydłę za ręce i pod ramionami. Wrywa się, szarpie. Na nic. Obezwładniony przez trzech napastników nie daje rady. Upychają go do wnętrza mikrobusu. Auto rusza. Usadzonemu na podłodze, pomiędzy fotelami, najpierw kajdankami skuwają ręce. Oczy przewiązują szalikiem. Na głowę wsadzają torbę z wzorzystego materiału.

- To uprowadzenie - pomyślał i zaraz przypomniał sobie całkiem niedawną przestrożę przyjaciela.

Za Kowalewem Nyska skręca w prawo. Po kilkunastu minutach zatrzymuje się w lesie. Porwany zostaje wyprowadzony z samochodu. Bezwzględnie, siłą wykręcają mu ramiona w taki sposób, by „objął” drzewo. Ręce kują mu kajdankami i oddalają się. Kilkanaście minut pozostaje sam pośród zapadających szybko ciemności.

Wtem przez leśną ciszę do uszu Antoniego dochodzi wyraźnie powtarzający się szczepek zamka repetowanej broni.

- Odmawiaj pacierz - słyszy męski głos.

Po krótkiej chwili nadchodzą inni terroryści.

- Odmawiaj zdrowaśki, odmawiaj - ironizują.

- Nie ociągaj się, bo możesz nie zdążyć.

Milkną. Słyszą oddalające się kroki. Po krótkotrwałej ciszy, znowu powtarza się trzask zamków pistoletów. Parę chwil później słyszą ponownie zbliżające się kroki. Galopada myśli nie do zatrzymania:

- Strzeli teraz?!

Trach trach! Tuż koło głowy zazgrzytał zamek odbezpieczanego pistoletu.

- Koniec?!

- Dupę masz mokrą, co? - pokpiwa męski głos po dłuższej chwili ciszy. - Nie martw się. Jeszcze trochę damy ci pożyć. Najpierw musisz nam wszystko wyśpiewać.

Rozpoczyna się coś na podobieństwo przesłuchania.

- Borusewicz znasz?! Gdzie on jest?!

- Nie wiem. To chyba jakaś pomyłka.

- Myśl, człowieku! Myśl! - zachęca jeden z prześladowców.

- Ja nic nie wiem - odpowiada Mężydło.

Nie są zadowoleni. Otrzymuje cios w twarz. Po raz pierwszy.

- Teraz przypominasz już coś sobie?!

- Ja nic nie wiem - powtarza.

Kolejne uderzenia. W twarz. W głowę. Kilkakrotnie. Zasłonięte szalikiem i workiem oczy uniemożliwiają jakąkolwiek obronę, zamortyzowanie uderzeń czy coś podobnego.

- A teraz coś sobie przypominasz?!

- Powtarzam, że to jakaś pomyłka. Ja nic nie wiem.

Za tę odpowiedź dostaje z kolei kopniaka. Nawracają z tymi samymi pytaniami, a on niezmiennie odpowiada podobnie przecząco. Kopniak za kopniakiem. Ile? Przestaje liczyć. Kopniaki co parę minut - źle się sumują. Zwłaszcza, że nie żałują mu także uderzeń po głowie i twarzy. Dłonią oraz jakimiś przedmiotami.

Wreszcie - nie kojarzy po jakim czasie - kajdanki zostają odpięte. W ciemnościach prowadzą go kilkanaście kroków. Ulga nie trwa długo... Napastnicy zmieniają mu tylko drzewo. Znowu siłą zmuszają do objęcia ramionami pnia i przykuwają kajdankami.

- Czas z nim skończyć.

- Jasne. Trzeba wykopać dół.

Mija kilka chwil. Gdzieś obok, za swoimi plecami słyszy wyraźnie odgłos kopania ziemi.

- Kopiają grób - przygalopowała przerażająca myśl. - O, teraz wyraźnie słyszę naciąganie sprężyny pistoletu. To chyba już koniec...

Strach dręczonego człowieka rośnie. Odpinają go od drzewa.

- Po co? Pewnie, żeby doprowadzić mnie bliżej dołu - myśli gorączkowo.

Mija kilka minut. Porywacze cichną. Antoni nie wie, co robią. Wyczuwa ich bliską obecność. Nagle z dwóch stron biorą go pod ramiona i prowadzą lasem. Odruchowo zapiera się nogami, szarpie. Wreszcie zatrzymują się.

- Tu będzie dobrze - mówi jeden z mężczyzn.

Mężydło w dalszym ciągu nie wie, jakie są dalsze zamiary prześladowców. Przykuwają go kajdankami do trzeciego z kolei drzewa.

DO PIACHU Z NIM!

Siłą usadzony na podłodze, plecami dotyka krawędzi krzesła. Ręce ma skute z przodu i - drugimi kajdankami - przykute do jednej nogi przewróconego stolika. Nogi - w pozycji wyprostowanej - powyżej kostek związane sznurkiem i przymocowane do krzesła. Metody jak w czasach stalinowskich.

Porywacze cały czas występują w kurtkach. Mężydło rozebrany, tylko w koszuli, coraz bardziej zziębnięty. Udręczony chwilami przysypia. Wtedy za kołnierz koszuli wlewają mu zimną wodę. Od czasu do czasu polewają go wodą także z przodu. Przeważnie z syfonu albo z

butelki.

- To dla odświeżenia umysłu - kpią.

Gdy zwleka z odpowiedzią na kolejne pytanie, odpowiada przecząco, bądź nie odpowiada wcale - człowiek „zza pleców” wrywa mu z głowy kosmyk albo pojedyncze włosy. Ktoś cały czas światłem latarki świeci mu w oczy. Co rusz otrzymuje uderzenia. W głowę najczęściej. Tylko nieco mniej razów trafia w kark i zebra. Uderzenia są zadawane metodą karate.

- Pożyć, to ty już długo nie pożyjesz - grożą.

- Zginiesz rozjechany przez samochód albo w jakimś innym wypadku na szosie.

Wyczerpany torturami, głodem i pragnieniem, jeszcze raz uświadamia sobie położenie.

Wydaje się klarowne.

- Umrę albo będę żył – rozważa pośpiesznie. - Życie najpewniej darują mi wtedy, jak sypnę. Ale jeśli sypnę, to jak dalej będę żył? Zdrajca nie ma prawa żyć.

Złoczyńcy zauważają, że ich ofiara drży z chłodu. Widzą w tym pretekst do drwin:

- Przestań się trząść, bo przez ciebie się zaziębimy.

Po raz kolejny polewają go wodą. Pijani coraz bardziej. Więzień stara się jak tylko może, żeby zachować spokój, lecz przerażenie narasta. Uświadamia sobie, że byle przypadek może zaważyć na jego ostatecznym losie. Prześladowcy zabawiają się w dalszym ciągu bronią. Zdejmują mu buty. Pałkami milicyjnymi uderzają po piętach. Ból coraz większy. Cierpi.

- Przechodzą do zupełnie stalinowskich metod - myśli przerażony.

Sponiewierany. Brudny od moczu. Poniżony. Przemarznięty. Czuje, jak opada coraz wyraźniej z sił. Ale trzyma się upartej myśli, że musi pozostać niezłomny.

- Nie dam się złamać. Boże dopomóż... Niech się dzieje, co chce, ale im nie ulegnę.

Groźby przeplatają obietnicami. Za współpracę wyjazd z kraju:

- Nie musisz wcale pracować w Polsce. Możesz być naszym agentem na Zachodzie.

Jesteśmy w stanie to załatwić.

Skala obietnic i ofert rozszerza się. Wśród nich jest nawet zapewnienie porywaczy, że mogą uczynić Antoniego szefem toruńskiego podziemia opozycyjnego. W zamian za dostarczanie informacji, proponują nabycie na dogodnych warunkach gospodarstwa rolnego i zaszycie się w wybranej wiejskiej okolicy.

Mężydło nie wykazuje zainteresowania żadną propozycją, ani obietnicą. Oprawcy ponownie przechodzą więc do gróźb i tortur. Wtem anonsują przybycie swojego szefa.

- Nasz szef na pewno nie będzie zadowolony z twojej postawy. Musimy cię uprzedzić, że ten gość się nie patyczkuje. Musisz liczyć się z czapą. Odmawiaj zdrowaśki.

Niebawem faktycznie słyszy nowy głos.

- No i jak?

- Uparty jest, szefie.

- Jak to?!

Mężydło ma w dalszym ciągu zasłonięte oczy, więc nie widzi twarzy szefa porywaczy, który rzecz jasna mu się nie przedstawia. Nie wie, że to kapitan Henryk Misz, zastępca naczelnika Wydziału III WUSW w Toruniu. Podwładni odtwarzają część nagranych na taśmę magnetofonową zeznań porwanego. Kapitan - niezadowolony z pracy swoich ludzi - aktywnie włącza się w tok przesłuchania. W ten sposób ma okazję osobiście przekonać się, jak twardy i niezłomny jest Prymus. Rozczarowany i wściekły wydaje krótką dyspozycję:

- Do piachu z nim! Kurwa! Koniec zabawy! Nie ma się z nim co pierdolić! Do piachu i po sprawie!

Po tym rozkazie wszyscy opuszczają pomieszczenie. Mężydło przeżywa kolejny moment szoku. Trwa krótko. Wyczerpany wpada w półsen. Osłabiony, ma spowolnioną reakcję. Obojętnie coraz bardziej.

Napastnicy powracają po dłuższej nieobecności. Przeprowadzają go do innego pokoju. Słychać grające radio. Spiker zapowiada:

- Mamy dziś czwarty dzień marca, imieniny Łucji i Kazimierza. Jest godzina siedemnasta.

Szef wyraźnie zintensyfikował pracę podwładnych. Następuje dramatyczna kumulacja wszystkich dotąd stosowanych brutalnych metod.

Polewanie wyziębionego ciała zimną wodą...

Uderzenia w głowę i kark...

Ciosy w brzuch i nerki...

Uderzenia pałą w gołe pięty...

Ma też miejsce makabryczna inscenizacja, jakby próba generalna śmierci porwanego. Ręce ofiary przykuwają kajdankami do dwóch krzeseł, rozstawionych po obu stronach jego ciała. Następnie markują przecinanie tętnicy szyjnej.

Wreszcie podają mu kromkę chleba z sałatką rybną. Siłą wlewają do ust wódkę.

- Nie mogę! - usiłuje odmówić Mężydło. - Będę wymiotował.

- Nie pierdol! Kurwa! Otwieraj mordę!

- Czujęm – wspominał później - jak z minuty na minutę się rozklejam. Padam, dosłownie, ze zmęczenia i wyczerpania.

Ręce odczepiają mu od krzeseł. Ubierają w kurtkę. Uwalniają z więzów nogi. Zakładają buty. Na twarz i głowę wkładają znowu torbę na zakupy. Czterech mężczyzn

podnosi go z podłogi. Wynoszą z budynku. Mężydło nie ma pojęcia, gdzie i po co go niosą. Pojawia się myśl, że pewnie do grobu, jaki wcześniej kopali.

Ale nie. Kładą go na podłodze samochodu. Przytrzymując za głowę - ponownie próbują wlać wódkę do ust leżącego. Mężydło zaciska zęby. Stara się wypluwać napój. Zauważają, że mu nie smakuje, więc czynią na ten temat ironiczne uwagi. Pozostałą zawartość butelki wylewają na ubranie ofiary.

Resztką woli mobilizuje się do myślenia:

- Teraz z pewnością wyrzucą mnie gdzieś na szosie, rozjadą samochodem, a potem ogłoszą, że wprawdzie zginąłem w sposób tragiczny, ale byłem pijany...

Samochód rusza. Nie słyszy, o czym rozmawiają porywacze, bo w samochodzie cały czas włączone jest radio. Auto zatrzymuje się po kilkunastu, może kilkudziesięciu minutach. Zdejmują porwanemu z głowy torbę, a z rąk kajdanki. Lufa pistoletu do pleców.

- Klęknij! - rozkazuje mężczyzna.

Klęka.

- Kładź się! - krzyczy szturchając lufą pistoletu w plecy. - Twarzą do ziemi! I nie waż się podnosić!

Opornie, ale spełnia życzenie mężczyzny. Wokół jest cicho. Po paru chwilach dochodzi odgłos oddalających się kroków. Słyszy trzask drzwi i zwiększające się obroty silnika samochodu. Wtedy z oczu zdejmuje szalik. Jest ciemno. Dostrzega światła oddalającej się szosą Nysy.

Rozgląda się. Jest na wysypisku śmieci. Z dużym trudem rusza w kierunku widocznych z oddali oświetlonych zabudowań. Od jednego z przechodniów dowiadyuje się, że to peryferie w Brodnicy.

Brudny. Zarośnięty. Śmierdzi alkoholem i moczem. W sumie wygląda przerażająco, a zarazem - odstręczająco. W każdym razie - dość niezwykle, jak na niedzielny wieczór. W dwóch domach dorośli mieszkańcy odmawiają udzielenia mu jakiegokolwiek pomocy. Dopiero kilkunastoletni chłopiec, którego rodziców nie ma akurat w mieszkaniu, wpuszcza nieznajomego, pozwalając mu się umyć i trochę oporządzić.

Po ogólnej toalecie niespodziewany gość, mimo że jest po godzinie dwudziestej, pierwszym, późnowieczornym pociągiem, wyjeżdża do Torunia.

SEN ASÓW GRUPY OAS

Piątek, 12 kwietnia 1991 roku. Świta.

Punktualnie o szóstej do drzwi mieszkań kilku oficerów byłej toruńskiej Służby

Bezpieczeństwa, zapukali nieoczekiwani goście. Również oficerowie - pracownicy Delegatury Bydgoskiej Urzędu Ochrony Państwa. Towarzyszyli im uzbrojeni policjanci. Rozmowy nie trwały długo. Oficerowie UOP zaproponowali sześciu oficerom SB przebranie się z piżam w ubrania wyjściowe.

Propozycję poprzedziło wręczenie pozdrowień z prokuratury. Ich treść nie sprawiła lokatorom przyjemności. Dyskomfort spowodowały urzędowe blankiety dostarczone przez posłańców. Miały postać prokuratorskich postanowień o zatrzymaniu w charakterze podejrzanych.

Oficerowie SB nie stawiali oporu, ani nie próbowali ucieczki. Nie mieli szans. Perfekcyjnie przygotowaną operację zatrzymania, poprzedziła kilkudniowa obserwacja, zorganizowana przez Delegaturę Bydgoską UOP, którą kierował Zbigniew Nowek.

Kierownictwo toruńskiej prokuratury, prócz nader sporadycznych i lakonicznych oficjalnych komunikatów, obłożyło wznowione śledztwo całkowitym embargiem informacyjnym. Dało to asumpt do irytacji niektórych lokalnych dziennikarzy, gwałtownie pragnących publicznie konsumować do niedawna zakazane przez cenzurę owoce. Prymat dobra śledztwa zwyciężył i przez rok z prokuratury praktycznie nie było żadnych przecieków informacyjnych, a jeśli cokolwiek przenikało, to bardzo nieoficjalnie i z absolutnym zakazem podawania do publicznej wiadomości. W tej sytuacji miejsce rzeczowej, bardziej szczegółowej informacji musiała zająć - i zajęła! - nieoficjalna, rozmnażająca się pośpiesznie plotka.

Obywatele są nieufni. Wobec krążących plotek, że wśród kierujących i tym śledztwem są osoby z powiązaniami rodzinnymi w byłej milicji i bezpiece, opinia publiczna chce gwarancji, że nie będzie to miało żadnego wpływu na przebieg i wyniki wznowionego śledztwa. Obywatele są niecierpliwi i - tak! - szukają sensacji nawet tam, gdzie naprawdę jej nie ma.

Z rodzinami na jakiś czas rozstało się sześciu byłych oficerów SB, którzy kilka lat wcześniej działali pod kamuflującym szyldem: Grupa Kierownicza OAS Regionu Pomorza i Kujaw. Wraz z nakazem aresztu na trzy miesiące, przedstawiono im zarzut bezprawnego pozbawienia wolności z użyciem siły fizycznej i presji psychicznej w warunkach szczególnego udręczenia.

Oskarżony Marek Kuczkowski niebawem z aresztu zawiadomił sąd, że jest bliski załamania nerwowego, z powodu kredytu bankowego, pobranego na rozbudowę pieczarkarni. Prosił o uwolnienie, zatroskany o bezpieczeństwo materialne swojej rodziny oraz żyrantów, bo długi przytłaczają go ogromnie.

Inny aresztant alarmował sąd, że jego stan zdrowia jest tak zły, iż może nie dotrzeć przy życiu do inauguracyjnej rozprawy sądowej. Lekarze więzienni jednakowoż orzekli, że oskarżony ma wprawdzie jakieś dolegliwości, ale nic i w żadnym stopniu nie zagraża jego życiu.

- Urodziłem się w maleńkiej miejscowości, a moje dzieciństwo to chodzenie siedem kilometrów do szkoły podstawowej i trzy kilometry do kościoła - napisał we wniosku o uwolnienie kolejny oskarżony.

Nie sprecyzował wprawdzie, czy musiał chodzić pod górkę, ale za to wspomniał o dziadku, który bronił kraju w 1939 roku. Mając więc całokształt na uwadze, nie mógł się nadziwić sytuacji, w jakiej się znalazł:

- Jak można tak besztać i poniewierać ludzi w kraju budującym demokrację - zastanawiał się człowiek, pracujący do niedawna w instytucji specjalizującej się w tego rodzaju praktyce.

Dla ścisłości - skarżypyta miał na myśli swoją sytuację, a nie porwanych.

- To nie jest możliwe, aby nasz syn takie rzeczy popełnił, bo był wychowany w rodzinie, która walczyła z resortem bezpieczeństwa - żalił się ojciec następnego członka grupy specjalnej.

Prokurator Andrzej Leciak, podówczas rzecznik prasowy i wiceszef Prokuratury Wojewódzkiej w Toruniu, przekazał dziennikarzom komunikat informujący, że prowadzone śledztwo w sprawie tak zwanych uprowadzeń toruńskich, zostało zakończone i materiały postępowania wraz z aktem oskarżenia, przekazano sądowi:

- Aktem oskarżenia objęto sześciu ustalonych w toku śledztwa byłych funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa byłego Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Toruniu...

NIETYKALNI NA ŁAWIE OSKARŻONYCH

Prokuratura, wraz z aktem oskarżenia przeciwko sześciu byłym oficerom byłej Służby Bezpieczeństwa, przekazała sądowi dwanaście tomów akt. Prokurator Grażyna Roszkowska wykonała prawdziwie koronkową robotę śledczą. Zawniosowała przesłuchanie przed sądem 61 świadków i odczytanie na rozprawie protokołów z zeznań złożonych w śledztwie przez dalszych 67 osób.

Podjeźrzeni całkiem niedawno chlubili się zatrudnieniem w instytucji, mówiąc eufemistycznie - zanadto nie dbającej o przestrzeganie zasad procesowych, uzasadniających pozbawianie obywateli wolności. Teraz żadnemu z podejrzanych sankcja prokuratorska się nie spodobała i wszyscy złożyli zażalenia na postanowienia o tymczasowym aresztowaniu. Sąd

zazalenia oddalił. Oskarżeni na rozpoczęcie rozprawy czekali więc nadal w celach. Każdy w innym areszcie.

Asy z tajnej grupy specjalnej, których błogi sen o dozgonnej bezkarności przerwała decyzja prokuratury, nie ustawały w skargach i żalach na niespodziewaną zmianę swojej sytuacji życiowej. Czas w odosobnieniu spędzali w zgodnym poczuciu, że są ofiarami solidaruchów i nowego reżimu.

Żaden z byłych oficerów byłej SB podczas śledztwa nie przyznał się do jakiegokolwiek winy. Głównie odmawiali składania wyjaśnień, wiedząc dobrze, że prawo podejrzanym milczeć nie zabrania. Milczeli, trwając w przekonaniu, że udało im się zniszczyć wszystkie dowody tak niedawnej, a niezgodnej z prawem działalności. Aresztowani przekonanie to oparli jednak na fałszywych przesłankach. Zapomnieli wszakże zniszczyć dokumentację swoich uczynków znajdującą się poza strukturą byłej Służby Bezpieczeństwa. Mianowicie - w milicji.

Nastąpiła nieoczekiwana zmiana ról. Myśliwi stali się zwierzyną. Abdykację reżimu przyjęli szokiem, jako niezrozumiałą niesprawiedliwość, której nie potrafili zaakceptować. Lata pracy w resorcie spraw wewnętrznych sprawiły, że wciąż nie są wolni od arogancji.

- Nadejdą jeszcze takie czasy, że to znowu ja będę panią przesłuchiwał - wypalił zweryfikowany pozytywnie funkcjonariusz bezpieki na sugestię mecenas Zalewskiej o konieczności odpowiadania policjantów na pytania adwokata.

Czują się mocno skrzywdzeni brakiem akceptacji społecznej dla ich niedawnej służby. W zwykłej prawnej sprawiedliwości, doszukują się zemsty politycznej, osobliwie tych, których gnębili. Prawa do życia nikt im jednak nie odbierał. Nowa rzeczywistość stała się dla nich wyzwaniem. Zanim zamknęły się za nimi drzwi cel aresztów, gros już trudniło się intratną działalnością handlowo-kupiecką w spółkach.

A jeden - Marek Kuczkowski - z rozmachem przystąpił do uruchamiania zakładu produkcyjnego. Dla niego odmiana losu była może szczególnie dotkliwa. Przed rozwiązaniem bezpieki podobno każdą wolną chwilę pomiędzy wykonywaniem kolejnych tajnych zadań, wykorzystywał na zbieranie materiałów do pracy doktorskiej. Temat - nauka społeczna... Jana Pawła II. Gdyby nie rozwiązanie Akademii Nauk Społecznych, odesłanie w polityczny niebyt Służby Bezpieczeństwa, no i - oczywiście - gdyby nie aresztowanie, kto wie...

Kuczkowski często uczestniczył w nabożeństwach kościelnych. Uczestniczył – sprecyzujmy - służbowo. Wraz z przyjaciółmi zatrudnionymi w toruńskim uniwersytecie, gdzie zresztą uzyskał dyplom magistra filologii polskiej, wykładał na Wieczorowym Uniwersytecie Marksizmu-Leninizmu, anonsowany jako specjalista od spraw Kościoła katolickiego. Nauczał młodzież podczas letnich obozów pod nazwą: Awangarda XXI wieku.

Oskarżeni to jedynie część jednostki specjalnej kierowanej przez kapitana Misza. Skład specgrupy był różny i zmieniał się w zależności od wykonywanych zadań i rozkazów przełożonych. Prokuratura ustaliła ponad wszelką wątpliwość, że do grupy w różnym czasie należał kwiat toruńskiej bezpieki: Jerzy Jedkie, Wiesław Zapałowski, Cyryl Wolski, Roman Zielenkiewicz, Bogdan Wandachowicz, Ryszard Górny, Marek Górny i Zbigniew Poraziński. Nominalnymi zastępcami kierownika grupy zostali: naczelnik Wydziału Śledczego SB - Eugeniusz Gawroński, zastępca naczelnika Wydziału V WUSW (zajmującego się przemysłem) - Janusz Hejnowicz oraz zastępca szefa Rejonowego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Toruniu - Grzegorz Lewandowski. Jednak faktycznym zastępcą Misza był kapitan Zielenkiewicz z Wydziału III WUSW. Nadto do pracy w grupie skierowano sekretarkę Wydziału II (tzw. kontrwywiadu) - Marię Sugier (występującą też jako Magdalena Kuczerowska).

Po paru latach, dobiegła finału sądowego sprawa działalności związku pod nazwą OAS oraz okoliczności tak zwanych uprowadzeń toruńskich. Trzyosobowy zespół sędziów Sądu Wojewódzkiego w Toruniu stanął przed niezwykle trudnym zadaniem. Bez względu na emocje, towarzyszące zwłaszcza pierwszej fazie wznowionego w roku 1990 śledztwa, sąd i tylko sąd mógł zdecydować o stopniu winy (lub jej braku) poszczególnych oskarżonych, wymierzyć im stosowną karę bądź uniewinnić.

Karty wstępu. Komplet publiczności. Wielu dziennikarzy. W towarzystwie policjantów, spięci kajdankami, wchodzą oskarżeni. Wzrokiem szukają bliskich. Wymiana spojrzeń. Gesty solidarności. Rozlega się dzwonek zapowiadający wejście sądu. Wszyscy podnoszą się z miejsc i zapada absolutna cisza. Czuje się atmosferę wielkiego procesu.

- Otwieram posiedzenie Sądu Wojewódzkiego w Toruniu - mówi przewodniczący składu orzekającego.

NIEPAMIĘĆ, CHOROBA RESORTOWA

- Treść aktu oskarżenia zrozumiałem – rzekł oskarżony Miros po spotkaniu z lekarzem.
- Nie przyznaję się do zarzucanych mi czynów. Chcę skorzystać z przysługującego mi prawa do odmowy składania wyjaśnień. Nie będę również odpowiadał na żadne pytania.

- Jestem niewinny – zadeklarował oskarżony Misz. - Odmawiam jakichkolwiek wyjaśnień i odpowiedzi na jakiegokolwiek pytania.

Zbigniew Makulski oświadczył, że nie tylko nie popełnił zarzucanych mu czynów, ale nawet nie byłby do nich zdolny.

- Od lat byłem obiektem nagonki ze strony podziemia – rzekł oskarżony Kuczkowski.
- Zarzuty prokuratury są absurdalne. Przychodzi mi teraz zapłacić wysoką cenę za pracę w

resorcie, który był filarem reżimu.

Oracja oskarżonego wzbudziła zachwyt części publiczności. Rozległy się nawet nieśmiało oklaski.

Oskarżycielka publiczna sygnalizowała już na wstępie procesu, nie bez zauważalnej troski w głosie:

- Efekty przesłuchań świadków z przeszłością w Służbie Bezpieczeństwa nasuwają podejrzenie, że amnezja stanowi resortową chorobę.

Jeden, drugi świadek może nie pamiętać zdarzeń sprzed sześciu-siedmiu lat. Jednakże powielenie schematu niepamięci przez kilkudziesięciu świadków, złączonych pępowiną tego samego, zwłaszcza tak specyficznego miejsca pracy, skłaniało do zastanowienia:

- Czy to oznacza, że świadkowie ci naprawdę nie pamiętają, czy jedynie zasłaniają się niepamięcią? - pytała raczej retorycznie pani prokurator.

Oskarżenie postawiło tezę o swoistej zмовie milczenia byłych funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa. Doświadczenie życiowe podpowiadało, żeby raczej nie spodziewać się cudownego przywrócenia pamięci świadków w scenerii sali sądowej. Praktycy sądowi wiedzą, że powiedzieć: - Nie pamiętam - stanowi najprostszą, a jednocześnie niesłychanie trudną do udowodnienia formę składania fałszywych zeznań.

Wszystko jednak - a więc także przybierająca rozmiary epidemii amnezja u świadków - podlega ocenie sądu.

Oskarżonymi o dokonanie porwań zostali trzej dyplomowani humaniści: Henryk Misz - historyk, Marek Kuczkowski - polonista, Roman Jarzyński - historyk, a ponadto: Bogdan Bogalecki - chemik i Zbigniew Makulski - administratywista. Szósty oskarżony przed sądem też zadeklarował posiadanie wyższego wykształcenia.

- Jakie to wykształcenie? - zaciekał się sędzia przewodniczący.

- Resortowe - odpowiedział uprzejmie Wiesław Miros.

- Co to znaczy? - dociekał sędzia.

- Ukończyłem Wyższą Szkołę Oficerską MSW w Legionowie...

Podsądni swoje dawne służbowe zajęcia wspominali różnie. Bogdan Bogalecki stwierdził podczas śledztwa:

- Do chwili powołania grupy operacyjnej nasza praca była upiorna. Zajmowałem się wówczas dekonspirowaniem sieci kolporterów prasy podziemnej. Często bywało, że ktoś usłyszał hałas pracującej obok pralki, wzywał nas, a myśmy przez wiele godzin musieli szukać rzekomej powielarni.

- Poznałem wielu interesujących, inteligentnych ludzi - mówił Zbigniew Makulski o tak zwanych rozmowach profilaktycznych, przeprowadzanych z działaczami toruńskiej

opozycji. Istnieje uzasadniona obawa, iż rozmówcy byłego porucznika Służby Bezpieczeństwa, mogą nie mieć tak miłych wspomnień.

Jedni odczuwali moralnego kaca z powodu wielu lat służby w instytucji, której nikt intelektualnie sprawny pozytywnej recenzji wystawić nie może, inni dostrzegali swój wkład w doprowadzenie do obrad... Okrągłego Stołu. Wszyscy posługiwali się specyficznym językiem. Mówili: neutralizacja podziemia politycznego, wyższe formy pracy operacyjnej, sprawy operacyjnego rozpracowania z udziałem figurantów, praca nad źródłami osobowymi. Mam wrażenie, że to metajęzyk, czuje się w nim atmosferę Orwella.

W śledztwie i na sali rozpraw usiłowali zasłaniać się tajemnicą państwową. Zdruzgotała tę linię obrony redaktor Ewa Wielińska; dziś wzięty adwokat:

- Z definicji wynika, że tajemnicą jest tylko taka wiadomość, której ujawnienie może narazić na szkodę itd. Należy przez to rozumieć, że chodzi o wiadomość jeszcze nieujawnioną. Skoro już została podana do publicznej wiadomości, choćby przez niedopatrzenie, nie może być nazwana tajemnicą. Chyba że tajemnicą poliszynela, ale to już nie jest definicja prawna, lecz literacka. W kwestiach dotyczących działania Służby Bezpieczeństwa często mamy do czynienia z faktami, które już tajemnicą być przestały.

Pierwszy przy mikrofonie stanął 36-letni kapitan SB, Bogdan Bogalecki. Zrozumiał zarzuty, stwierdzając, że nie przyznaje się do winy. Oskarżony odmówił składania wyjaśnień, a także udzielania odpowiedzi na pytania stron. Ale w śledztwie powiedział:

- Nigdy nie widziałem żadnych dokumentów, które wskazywałyby jednoznacznie na sposób powołania tej grupy.

- Wszystkie nasze działania prowadzone przez grupę zawsze były zgodne z obowiązującymi wówczas przepisami - tłumaczył Zbigniew Makulski - Przysięgam na moją rodzinę, na coś, co jest dla mnie najdroższe, że nigdy nikogo nie biłem i nie widziałem też, żeby którykolwiek z moich kolegów bił lub znęcał się nad zatrzymanymi. Poczuję się do winy o tyle, że wykonywałem pracę, która była skierowana przeciwko demokracji i praworządności.

Wiesław Miros również nie przyznał się do winy.

- Owszem, słyszałem o grupie Misza, która miała rozpracować struktury podziemia.

Nie może powiedzieć, czy do niej należał, bo ma zaniki pamięci.

Oskarżony Misz nie pamiętał kto wydał dyspozycję zorganizowania grupy, ani jaki był jej skład osobowy. Stwierdził jedynie, że przy doborze funkcjonariuszy kierował się przede wszystkim kwalifikacjami zawodowymi.

Oskarżonym - w momencie rozpoczęcia procesu - groziła kara do 10 lat pozbawienia wolności. Zachowanie lokatorów ławy oskarżonych w pierwszych dniach procesu

prognozowało niepomyślnie. Istniała uzasadniona obawa, że przed jego zakończeniem nie wyleczą się z amnezji. Resortowej choroby, na którą już w czasie śledztwa tak nieszczęśliwie, bo gremialnie, zapadli.

CHARAKTERYZATOR GRUPY SPECJALNEJ

- Raz przyszedł do mnie młody nieznany mężczyzna i powiedział, że potrzebuje kilka peruk, więc ja jemu pożyczyłem...

- Zgodził się pan wypożyczyć peruki człowiekowi, którego nie znał? - zaciekał się sędzia Lech Gutkowski.

- Tak. Chciało się zarobić, bo emerytura nie jest wysoka. Oni dali mi później dwa tysiące złotych.

Eugeniusz Orłowski, lat osiemdziesiąt dwa, choć chwilami mógł wzbudzać politowanie, musiał stanąć za barierką dla świadków poniekąd na własne życzenie. Z zawodu perukarz-charakteryzator. Kilkadziesiąt lat przepracował w toruńskim Teatrze im. Wilama Horzycy. Do sądu przyszedł świetnie przygotowany. Na powitanie przedłożył zaświadczenie lekarskie z opinią, że powinien unikać stresów. Niepytany zapowiedział, że z ławy oskarżonych nikogo nie poznaje, z powodu wady wzroku. Stojąc za barierką dla świadków twierdził, że nie widzi twarzy sędziów i nie rozpoznaje obecności wśród nich kobiety.

To mogła być prawda. Nie wiadomo jednak, jaki świadek miał wzrok siedem lat przedtem, kiedy oddawał usługi bezpiece. Emerytowany perukarz-charakteryzator, traktowany przez sąd z należną wiekowi spolegliwością, przypomniał sobie co nieco w trakcie przesłuchania.

Kilka dni po pierwszej wizycie panów oficerów, emerytowany pracownik teatru znowu miał niespodziewanych gości dysponujących gotówką.

- Wtedy trzem mężczyznom zakładałem peruki, a jednemu wąsy. Była z nimi kobieta. Jej założyłem perukę z lokami.

Sędzia poprosił świadka do stołu sędziowskiego, aby z wyłożonych tam peruk wybrał tę, którą zakładał kobiecie.

- Ta! - wskazał świadek i zaraz pochwalił się: - Tej pani zrobiłem usta. No i brwi.

- Jakie miała usta?

- Czerwone.

W ławach dla publiczności rozległy się chichoty, a nawet głośny śmiech. Po raz pierwszy w tym procesie.

- Dlaczego ci mężczyźni z tą prośbą nie poszli do teatru, tylko do pana?

- Byli w teatrze. Tam im odmówili i podali mój adres.

W sądzie początkowo zaprzeczał, jakoby swoim klientom doprawiał brody czy robił inne znaki szczególne. Ale kilka miesięcy przedtem w śledztwie zeznał:

- Przyszedł do mojego mieszkania funkcjonariusz milicji w mundurze, machnął legitymacją, powiedział o perukach i że przyjdą do charakteryzacji za kilka dni. Pamiętam, że jednemu z mężczyzn zrobiłem na policzku bliznę, jak po cięciu szablą...

Świadek na wiele pytań odpowiadał:

- Nie wiem. Nie pamiętam. Jestem wykończony. Nie słyszę.

Opisał jednak peruki, które wypożyczał. Pod koniec przesłuchania dodatkowo sobie przypomniał, iż co najmniej jednemu esbekowi doprawiał też brodę.

Dyspozytor garaży milicyjnych opowiedział sądowi o garderobie urządzonej w samochodzie marki Żuk. Funkcjonariusze bezpieczeństwa przebierali się w niej na kolejne akcje. W istocie była to charakteryzatornia:

- W Żuku znajdowały się peruki, wąsy i wszystko inne, co potrzeba, aby móc się ucharakteryzować.

Później oddelegowano go do zespołu kapitana Misza:

- Dowódca zobowiązał mnie do bezwzględnego zachowania milczenia na temat tego, co będę słyszeć lub widzieć w związku z działalnością grupy, którą on kieruje. Byłem niezadowolony z oddelegowania, bo o działalności grupy kapitana Misza słyszałem już wcześniej. Cała komenda o tym mówiła, zwłaszcza kierowcy. Mówiło się, że oni zajmowali się zbieraniem ulotek, jeździli po kościołach, słuchali, co mówią księża, robili akcje na Radio i TV SOLIDARNOŚĆ... Nie chciałem więc jeździć z kapitanem Miszem, ale mój naczelnik polecił mi wykonać rozkaz, mówiąc, że nie mam innego wyboru.

Magdalenę Kuczerowską tuż przed porwaniem Jastrzębskiej, widziano u charakteryzatora, strojącą się w perukę. Charakteryzator teatralny wspominał o malowaniu ust i robieniu brwi funkcjonariuszce towarzyszącej porywaczom. Ale Kuczerowska zaprzeczyła.

- Pouczenie o odpowiedzialności karnej za składanie fałszywych zeznań jest nadal aktualne - przypomniała świadkowi sędzia Hojło.

- Nie brałam udziału w porwaniu - utrzymywała funkcjonariuszka, zwana przez kolegów piękną Madzią.

- Czy zetknęła się pani kiedykolwiek z pseudonimami tajnych agentów Ariadna i Paweł?

- Tajnych współpracowników było tak wielu, że nie pamiętam.

SPEKTAKL LEGENDY BEZPIEKI

Jakież to było ekscytujące. Pułkownik Grochowski zdecydował się powierzyć sądowi niezwyklej wagi tajemnicę resortu spraw wewnętrznych. Ot tak, ni stąd ni zowąd. Dziwiłem się, bo salę rozpraw wypełniała publiczność. Może siedział tam ktoś nieodpowiedzialny? Obawiałem się o emerytowanego pułkownika bezpieczeństwa, czy nie podejmuje aby zbyt wielkiego ryzyka.

Rozejrzał się na boki. Westchnął głęboko. Zorientowałem się, że już nic go nie powstrzyma. Ani sąd, ani nikt z publiczności. Co za emocje. Już za chwilę tajemnica przestanie być tajemnicą.

Weteran bezpieczeństwa ściszył teatralnie głos. I wtedy to z siebie wyrzucił:

- Z oskarżonym Miszem jeździliśmy do kościoła Świętej Brygidy w Gdańsku.

Zapadła cisza.

- Służbowo, oczywiście. Ale ja sam byłem tam kilkakrotnie - pochwalił się świadek.

Szokujące.

Miał - oczywiście! - rozeznanie na temat oficjalnych, a nawet potajemnych wizytach w Toruniu liderów podziemia:

- To byli mądrzy ludzie. Mieli ciekawe prelekcje.

Nie zaniedbywał lektur i wyciągał wnioski:

- Czytałem broszury o Katyniu i NKWD, które mnie chłodziły. Wiedziałem dawno, że racja jest po stronie opozycji - zreasumował wieloletni szef toruńskiej Służby Bezpieczeństwa, wywołując po raz kolejny konsternację na sali rozpraw.

Nawet oskarżeni, byli podwładni emerytowanego pułkownika, nie potrafili ukryć wesołości i wyraźnie się rozluźnili.

- Jaki pan miał wpływ na grupę specjalną? – zapytała sędzia Hojło.

- Nie miałem. Była wyjęta spod mojego wpływu.

- Pan przecież uczestniczył w naradach, podczas których oceniano wykonywanie zadań przez grupę - zauważyła prokurator Grażyna Roszkowska. - Jeśli pan nie miał wpływu, więc co w takim razie pan na tych naradach robił?

- Czasem były i trzy narady dziennie. Człowiek od słuchania był niekompetentny.

- Pan, szef wojewódzkiej Służby Bezpieczeństwa, w charakterze figuranta na naradach wysiadywał?

- To pani Łukasiaka zapyta, nie mnie. On nikogo do głosu nie dopuszczał.

Świadek w tym momencie wyraźnie się zagubił. Jakby zapomniał, że kilka miesięcy wcześniej, osobiście uczestniczył w pogrzebie swojego byłego szefa, więc nieboszczyka nikt o nic już zapytać nie może.

Gdy przełożony żył, Grochowski daleko powściągliwiej wyrażał się o cechach jego charakteru. Napływ krytycyzmu objawił się u świadka po zgonie zwierzchnika.

- Czego pana szef oczekiwał od grupy? W jaki sposób grupa miała działać? - pytała pani prokurator.

- Trudno mi pamiętać. Ja nie mogę pamiętać... Miała to być penetracja operacyjna w celu zlikwidowania podziemia. Chodziło o to, żeby podziemie nie działało zbrojnie.

Zeznania weterana bezpieki w kwestiach, gdy nie musiał obawiać się ewentualnej własnej odpowiedzialności, cechowała precyzja i znakomita pamięć. Kręactwo dyskredytujące część jego zeznań pojawiało się wówczas, gdy miał przypomnieć swoją i oskarżonych rolę w wydarzeniach dotyczących uprowadzeń. Ze strony sądu, świadek ten wymagał szczególnej opieki. Łagodnego pobudzania pamięci, która nabrała cechy wprost niezwyklej selektywności.

Uważał się za znawcę specyfiki i mentalności ludzi działających w nielegalnych strukturach. Na Pomorzu się urodził, tu zawsze mieszkał i pracował. Ponadto zaś jego praca magisterska - nie bez przyczyny przecież - miała tytuł: *Życie społeczno-polityczne w województwie pomorskim na podstawie archiwalnych teczek Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego z 1945 roku i starostw powiatowych.*

29 kwietnia 1982 roku, Grochowskiego wpisano do Honorowej Księgi Województwa Toruńskiego. Nazajutrz piętnastu funkcjonariuszom Służby Bezpieczeństwa, uroczyście wręczono specjalne listy Egzekutywy Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Listy z podziękowaniem za *wierność idei PZPR, pełne zaangażowanie w trudnych dla Polaków chwilach i wzorową postawę.*

Te trudne chwile dotyczyły pierwszych miesięcy stanu wojennego. Wśród zaszczyconych listem za wzorową postawę, nie mogło zabraknąć najwyższego rangą funkcjonariusza toruńskiej bezpieki – Zygmunta Grochowskiego. Nieznanego, a podobno cichego kontestatora działań własnych i swoich przełożonych. Kontestatora we własnym mniemaniu.

SZWAGROWIE I KOLEGA SZWAGRA

Tajna specgrupa kapitana Misza otrzymała pierwsze zadania do wykonania natychmiast po tajnej decyzji o jej powołaniu. Pierwszoplanowym celem było zlokalizowanie punktów emisji lokalnego Radia SOLIDARNOŚĆ. Następnie miejsc pracy urządzeń poligraficznych oraz zdekonspirowanie nie mniej uciążliwej dla władzy, bo nader rozgałęzionej, siatki kolporterów ulotek i wydawnictw drugiego obiegu.

Oficerów stanowiących trzon grupy, nikt nie musiał poganiać do walki z konspirą. W pierwszym rzędzie przejęli siedem tomów akt sprawy operacyjnego rozpracowania pod kryptonimem HYDRA. Dotyczyła działalności siatki kolporterów nielegalnych wydawnictw. Sprawa należała do najbardziej kluczowych, najobszerniejszych w tamtym czasie.

31 stycznia 1984 roku, kapitan Henryk Misz, skierował zamówienie na przeprowadzenie tajnej obserwacji grupy osób z ówczesnego podziemia politycznego. Wśród wytypowanych na czołowym miejscu umieszczono Piotra Hryniewicza.

Dlaczego w planie uprowadzeń wytypowano jako pierwszego właśnie jego? Nikt z porywaczy nie zechciał na tak sformułowane pytanie odpowiedzieć oficjalnie. Dla reportera nie mogło to oznaczać zaniechania poszukiwania drogi choćby zbliżającej do poznania prawdy. Kim był człowiek, nominowany w misternym planie asów bezpieczeństwa na ofiarę numer jeden?

Wywodzi się z rodziny żywo dotkniętej dramatem wielu innych polskich rodzin. W dzieciństwie poznał losy stryja, najstarszego z braci ojca, od którego ostatnią korespondencję rodzina otrzymała z Kozielska. Po nim właśnie otrzymał drugie imię - Władysław. Ani on sam, ani nikt z najbliższych nie mógł przypuszczać, że do rodzinnego albumu wspomnień dopisane zostaną dramatyczne epizody zdarzeń z jego własnego życia.

W latach staczenia się po równi pochyłej gierkowskiej dekady różowej, studiował historię na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika. Dużo czytał, chciał wiedzieć jak najwięcej.

Na studiach poznał Tadeusza Mazurka. Trzy lata zajmowali ten sam pokój w akademiku. Młodzieńcy od początku doskonale się rozumieli i serdecznie zaprzyjaźnili. Tadeusz, zanim został studentem historii, rok spędził w gnieźnieńskim seminarium duchownym. Następnym kilka miesięcy, jakby dla kontrastu - studiował na Wydziale Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego.

Przyjaźń kolegów z akademika, przeniosła się na wiek męski. Scementowała ją rodzina. Biorą za żony dwie siostry bliźniaczki, więc zostają szwagrami.

Po studiach kolejno odbywają szkolenie wojskowe. Ich kontakty w tym czasie ograniczają się do spotkań podczas uroczystości rodzinnych. Piotr, podczas jednej z przepustek spędzonych z rodziną, dowiaduje się, że szwagier po wyjściu z wojska rozpoczął etatową pracę. W bezpieczeństwie.

Hryniewicz również szukał pracy. Historyk z dyplomem UMK, dostał posadę organizatora widowisk w Teatrze Wilama Horzycy. Jednak w kwietniu 1981 roku zmienia pracę. Zarekomendowany przez przyjaciół, podjął etatowe zatrudnienie w Zarządzie Regionu NSZZ SOLIDARNOŚĆ.

- Szwagier w Służbie Bezpieczeństwa raczej nie był handicapem?

- Dyrektor administracyjny teatru znał miejsce zatrudnienia mojego szwagra i dziwił się, że zatrudniają mnie w związku. Zaraz po odejściu z teatru, funkcjonariusze SB kilka razy o mnie wypytywali... W Zarządzie Regionu parę osób orientowało się, gdzie Tadeusz pracuje. Ja z kolei, ani nie ukrywałem, że mam szwagra w SB, ani tym faktem się nie chwaliłem.

Bieg historii umieścił szwagrów po przeciwnych stronach. Ale nie barykady. Nic podobnego. Przyczyna była prosta. Żaden z nich nie miał predyspozycji do wznoszenia murów między ludźmi.

- Nasza przyjaźń, z powodu okoliczności zewnętrznych, została poddana próbie - przyznaje Tadeusz Mazurek. - To prawda. Ale byliśmy rodziną.

- Początkowo zupełnie mnie nie interesowało, czym Tadeusz zajmuje się bezpiecznie - wyjaśnia drugi szwagier. - Po prostu. Sprawy rodzinne układały się niezależnie od zawodowych.

Teoretycznie zasada posiadała same walory. A w praktyce? Szwagrowie politykę chcieli wykluczyć ze swojego życia rodzinnego. Kto inny miał zdecydować, że polityka do nich sama przyszła. Nieproszona.

Hryniewicz z entuzjazmem organizował wszechnicę związkową. Osobiście zapraszał do grodu Kopernika ciekawych ludzi, przeważnie gwiazdy podziemia. Wśród nich - Stefana Bratkowskiego, Jacka Kuronia, Adama Michnika.

- Tę pracę do dziś wspominam z sentymentem, jako wielką przygodę - mówi bez cienia emocji dziesięć lat później. - Myślę, że nie tylko ja okres pierwszej SOLIDARNOŚCI zaliczam do najprzyjemniejszych w moim życiu. Miałem wprawdzie już dwadzieścia sześć lat, ale wokół panował prawdziwie młodzieńczy entuzjazm. Radość... Optymizm... I ja, niby realista, temu uległem. Miało się poczucie wspólnoty. Jedności... Racji moralnej...

Przełożeni Tadeusza raczej nie byli zadowoleni, że ma szwagra na etacie we władzach SOLIDARNOŚCI. To była poważna plama w biografii zawodowej oficera SB. Początkowo nawet rozważano, czy porucznik Mazurek nie jest aby wtyczką opozycji solidarnościowej w bezpiecznie. Przełożeni z czasem uznali, że miejsce zatrudnienia szwagra oficera SB trzeba wykorzystać. Dla dobra służby.

Piotr Hryniewicz nie był dla funkcjonariuszy toruńskiej SB osobą nieznaną, ani obcą. Od podjęcia zatrudnienia - w teatrze - pozostawał w zainteresowaniu wydziału, zajmującego się tzw. nadbudową, czyli opozycją intelektualną. On z kolei znał fizjonomię co najmniej kilku funkcjonariuszy. Niektórych z nich nawet od dość dawna i dokładniej. Sześciu kolegów z tego samego roku historii UMK zasiliło szeregi SB.

Nie wiedział, że przełożeni porucznika Mazurka, podjęli decyzję o próbie

skaperowania do współpracy z SB jego szwagra. Hryniewicz odsypiał nocny dyżur, gdy niespodziewanie nawiedził go szwagier w towarzystwie mężczyzny, którego zaraz przedstawił:

- To kolega z firmy. Powinieneś pamiętać go z okresu studiów. Kiedy myśmy studiowali historię, kolega był na polonistyce.

Mężczyźni podali sobie dłonie. Nic nadzwyczajnego. Banał. Nastąpiła zwykła prezentacja. Jak to u młodych ludzi mniej więcej w tym samym wieku.

- Marek.

- Piotr.

- Wprawdzie byłem nieco zaspany, lecz zdołałem zauważyć, że szwagier nie zachowywał się w sposób naturalny. Zrozumiałem natychmiast, że może to być próba wciągnięcia mnie do współpracy z SB. Automatycznie stałem się podejrzliwy i czujny.

Pili herbatę. Rozmawiali ogólnie o trwającym zjeździe SOLIDARNOŚCI. Kolega z firmy szwagra, przed wyjściem, zakomunikował gospodarzowi mieszkania, że kiedyś chciałby z nim poważnie, jak się wyraził - porozmawiać:

- Nic się nie bój. Niczego wielkiego do ciebie nie oczekuję. Przecież ja jestem tylko drobnym, szarym pracownikiem, więc naprawdę nie musisz się mnie obawiać.

- Byłem wkurzony na Tadeusza za zaaranżowanie spotkania. Nie kryłem, że mam do niego pretensję.

Szwagrowie niebawem odbyli męską rozmowę. Towarzyszyła im butelka wódki na stole. Piotr kategorycznie domagał się wyjaśnienia sytuacji, jaka miała miejsce w jego mieszkaniu. Tadeusz, zażenowany i chyba szczerze wzruszony, wyjaśniał, że porucznik Kuczkowski jest jego przełożonym:

- On nalegał na spotkanie z tobą już od dawna. Zwodziłem go i zwlekałem, jak tylko mogłem, bo za wszelką cenę chciałem uniknąć zamieszania ciebie w jakąś aferę. Ostatnio presja była już tak duża, że - wybacz - uległem.

Nie zwlekał z zawiadomieniem pracodawców o próbie skaperowania przez Służbę Bezpieczeństwa. O dyskomfortowej sytuacji, w jakiej się znalazł, poinformował Lenę Kuczyńską, swoją bezpośrednią przełożoną, oraz Edwarda Strzyżewskiego, ówczesnego przewodniczącego Zarządu Regionu NSZZ SOLIDARNOŚĆ w Toruniu. Zwierzchnicy zgodzili się, że podwładny znalazł się w sytuacji niebezpiecznej. Poradzili rozwagę i ostrożność, sugerując jednocześnie, aby nie odmawiał zbyt stanowczo porucznikowi.

- Może i dla nas coś pożytecznego z tego spotkania wyniknie - powiedział przewodniczący.

Hryniewicz, wymawiając się brakiem czasu, kilka razy odrzucił telefoniczne

zaproszenie, lecz w październiku 1981 roku przystał na spotkanie z kolegą z firmy szwagra:

- Rozmowa trwała około godziny i dotyczyła ogólnej sytuacji w kraju. Ponownie spotkaliśmy się w listopadzie. Przebieg rozmowy był mniej więcej taki sam.

Relację z przebiegu obydwu rozmów przekazuje przewodniczącemu Strzyżewskiemu. Ani nikt z przełożonych, ani sam Hryniewicz nie zdawali sobie jednak sprawy, co się działo za kulisami. Nie mieli świadomości, że ogólnikowe, momentami sympatyczne i niezobowiązujące w treści rozmowy, utalentowany oficer SB traktował od początku jako roboczy pretekst w celu uzasadnienia służbowego wniosku o wpisanie Hryniewicza do rejestru informatorów. I to z uwagą, że jest „cennym nabytkiem”.

- Obawiałem się, że gra może być nieczysta – mówi Hryniewicz. - Ale dziś wiem, że wówczas zbagatelizowałem zagrożenie. Uspiała mnie przymilna gra esbeka. Wtedy jeszcze nawet nie wiedziałem, że nazywa się to gra konspiracyjna... W tym czasie pozostawałem w przekonaniu o swojej nieugiętości, niezłomności i że kapusiem z pewnością nie będę. Nie zastanawiałem się, jak zareaguję, jak zachowam się w sytuacji ekstremalnej. Nie bardzo nawet wyobrażałem sobie, jak taka sytuacja może wyglądać.

Nie musiał czekać długo na skonfrontowanie wyobraźni z rzeczywistością. Wielu wprawdzie nie wierzyło w zapowiadaną prognozę polityczną, ale z każdym dniem przybliżał się chłód grudniowej nocy.

JA, PIOTR HRYNIEWICZ...

- Widzisz, my oficerowie, dotrzemy słowa - powiedział porucznik SB.

Pracownik zawieszonych władz SOLIDARNOŚCI wsiadł do czarnego samochodu marki Wołga. Kilka minut później, służbowe auto toruńskiej bezpieki zatrzymało się przed domem, w którym Aurelia i Piotr Hryniewiczowie wraz z dwójką dzieci wynajmowali mizerne, szesnastometrowe mieszkanie. Pokój i niewielką kuchenkę.

W pierwszych kilkunastu godzinach stanu wojennego, gros etatowych pracowników związku utraciło wolność. Już w niedzielę, trzynastego grudnia, oddział zomowców w pośpiechu zdemolował biura znienawidzonej przez reżim organizacji. Nazajutrz garstka związkowców ocalałych z pogromu, podjęła się wyniesienia z pomieszczeń biurowca jak największej ilości dokumentów, druków bezdebitowych, pieniędzy i papieru offsetowego.

- Myśleliśmy, że pracujemy w miarę dyskretnie - wspomina Piotr Hryniewicz. - To jednak było złudzenie. Aż dziwne, że ZOMO od razu nas nie spacyfikowało... W przerwie próbowałem dotrzeć do rodziny. Chciałem ich zobaczyć i coś zjeść. Nieopodal domu jednak zauważyłem fiata na esbeckich numerach. Natychmiast zawróciłem. Noc spędziłem w biurach

związku. Trzeciego dnia wojny jaruzelsko-polskiej, wysłaliśmy do Urzędu Wojewódzkiego delegację z petycją, aby w myśl dekretu o stanie wojennym oficjalnie został zabezpieczony majątek związku.

Późnym popołudniem Hryniewicz został wydelegowany do sprowadzenia księgowej:

- Po wyjściu z budynku nagle w oczach zrobiło mi się niebiesko. Raz po raz podjeżdżały milicyjne suki, z których w pełnym rynsztunku wyskakiwali zomowcy. Zanim się spostrzegłem, już mnie dopadli. - Łapy na auto! - usłyszałem. Obszukali mnie, wylegitymowali i cofnęli do budynku.

Funkcjonariusze ZOMO rozbiegli się po pomieszczeniach. Pałowali bez opamiętania. Dostało się nawet członkom urzędowej komisji. Grupa osiłków, kierowana przez oficerów SB, urządziła pokaz brutalnej siły. Blisko dwie godziny fizycznie i psychicznie pastwili się nad członkami władz SOLIDARNOŚCI. Dewastowali, co jeszcze nadawało się do zdewastowania. Solidarnościowcom dopiero pod wieczór pozwolono opuścić budynek. Hryniewicz myślał o Wandalach plądrujących Rzym... Do domu powrócił zestresowany i wyczerpany. Ledwie zdążył przywitać się z rodziną, kiedy rozległ się dzwonek. Do drzwi wejściowych podeszła Aurelia. Po chwili wraz z nią do pokoju wszedł porucznik Kuczkowski. Uzbrojony. Z pistoletem.

- Ubieraj się - powiedział do Piotra. - Jedziemy na komendę.

Żona Hryniewicza wpada w rodzaj hysterii:

- Zostaw go! W domu jest śmiertelnie chore dziecko! A w ogóle, to dlaczego go zabierasz?! Na jak długo?!

Esbek zapewnił Aurelię słowem honoru, że małżonek niebawem powróci do domu. Nie precyzował tylko terminu powrotu.

Przesłuchanie przeciągnęło się do późnej nocy. Hryniewicz nie uważał siebie za tchórzliwego, ale nie może powiedzieć, że się nie bał.

- Kuczkowski dobrze wiedział, w jakim stanie psychicznym jest moja żona z powodu naszego ciężko chorego, umierającego dziecka. Wiedział, że nasza sytuacja finansowa jest bliska beznadziejnej, a w najbliższym czasie ja nie będę miał pracy. W tej sekwencji przesłuchania on naprawdę sprawiał wrażenie życzliwego, wręcz koleżeńskiego. Zapewnił, że będzie mógł załatwić cofnięcie nakazu mojego aresztowania i przewiezienia do Potulic, ale jest jeden warunek. Muszę podpisać zobowiązanie do przestrzegania prawa stanu wojennego. Miałem wątpliwości, więc zapytałem:

- Jakiej treści?

- Nic się nie bój. Treść jest niegroźna. Wielu ludzi podpisuje tego rodzaju lojalki. To jest szablon. Przeczytam ci, jak to wygląda.

Przesłuchiwany nie dopatrywał się w treści zaproponowanego zobowiązania niczego kompromitującego:

- Po chwili namysłu pisałem pod jego dyktando: Ja, Piotr Hryniewicz, zobowiązuję się do zachowania w ścisłej tajemnicy faktu kontaktu z pracownikami SB przed najbliższą rodziną, osobami trzecimi i kręgiem „Solidarności”. Nie podejmowałem dotychczas i nie będę podejmował w przyszłości żadnych działań na szkodę przepisów prawa i interesów PRL, lecz dążyć będę, aby związek „Solidarność” działał zgodnie z normami statutowymi.

Nocne przesłuchanie dobiegało jakby końca. Porucznik - z wprawą profesjonalisty - postanowił zmienić nastrój. Epatował teraz serdeczną wyrozumiałością, gotowością nie tylko do pewnych ustępstw, ale wręcz poświęceń i spolegliwości. Dialog wprawdzie nadal toczył się ospale, chropowato, ale życzliwość w tonie głosu, mająca na celu osłabienie czujności, a w konsekwencji zmiękczenie hardości przesłuchiwanego, zaczęła przynosić efekt.

- Święta Bożego Narodzenia się zbliżają, więc pewnie będziesz potrzebował pieniędzy - zagaił. - Piotr, powiedz otwarcie. Może będę ci mógł pomóc.

Pieniądzy potrzebował. Jasne, że potrzebował. Związkową kasę z gotówką przeznaczoną na wypłaty dla pracowników zarekwirowała przecież prawie w całości Służba Bezpieczeństwa, więc także i on nie mógł liczyć na jakiegokolwiek wsparcie finansowe. Początkowo jednak trwał, jak mu się wydawało - w twardym postanowieniu, że absolutnie nie będzie korzystał z oferty Marka.

- Kolegą jest niby, ale to przecież jednak esbek - myślał gorączkowo. - Wiem, że twoja żona jest bez pracy, a teraz i ty możesz mieć kłopoty z robotą.

- Wiesz, nie, dziękuję - opierał się Hryniewicz. - Jakoś sobie poradzę. - Piotr, ty się nie wygłupiaj. Konta twojego związku są przecież poblokowane. Masz moje zapewnienie, że wzięcie pieniędzy nie oznacza żadnych zobowiązań. Potraktujmy to jako koleżeńską pożyczkę. Oddasz mi, kiedy będziesz mógł. Ale nie ma pośpiechu.

Przesłuchiwany w dalszym ciągu się wahał. Nocny chłód i zmęczenie dosłownie ścinały go z nóg.

- Jeśli ma to być pożyczka, to zgoda - powiedział w końcu i pomyślał, że Aurelia na pewno się ucieszy.

Minęło jeszcze kilkadziesiąt minut.

- O cholera... Wiesz co - zagadnął Kuczkowski - Popatrz, tak się pechowo składa, że swoich pieniędzy akurat przy sobie nie mam. Przepraszam cię... Ale wiem, jak sobie poradzimy. Wezmę chwilówkę. Tak jest! Ze służbowej kasy. O, masz. Chociaż, czekaj... Wiesz, w tym cholernym stanie wojennym może być jakaś kontrola, więc na wszelki wypadek, żebym był kryty - daj mi tu jakąś parafę.

Hryniewicz znowu pomyślał o ciężko chorym synku. Na podsuniętej kartce papieru napisał więc jego imię - Paweł.

Godzina druga minęła już dawno. Do świtu czwartego dnia stanu wojennego czasu zostało niewiele. Esbek sięgnął po słuchawkę telefonu. Zadowolony, uśmiechnięty, powiedział:

- Załatwiłem ci transport do domu. Chodź, zaprowadzę cię do wyjścia z gmachu.

Młodzi mężczyźni razem zeszli na parter. Pożegnali się przy dyżurce, obstawionej uzbrojonymi zomowcami.

- Widzisz, ja dotrzymuję słowa - powiedział porucznik. - No to cześć.

Hryniewicz wsiadł do czarnej Wołgi. Kilka minut później, auto zatrzymało się przed domem, w którym wynajmował z rodziną mieszkanie.

W pierwszych tygodniach stanu wojennego, niedawny etatowy pracownik legalnej struktury potężnego związku zawodowego, posiadał nieoficjalny status bezrobotnego. Nieoficjalny, bo przecież w Polsce Ludowej bezrobocie należało oficjalnie do zjawisk nieznanych:

- Kilka tygodni, prawie codziennie, ze skierowaniem z wydziału zatrudnienia w kieszeni, jeździłem do różnych zakładów. Wszędzie - po konsultacji z SB - mnie odprawiali... Pracę jakąś musiałem jednak podjąć koniecznie, bo na utrzymaniu miałem niepracującą żonę i dwójkę małych dzieci.

Młodszy, Pawełek, z wrodzoną wadą serca, wymagał szczególnej i kosztownej opieki lekarskiej. Rodzice raz w miesiącu jeździli z nim na konsultacje do Centrum Zdrowia Dziecka.

Magister historii został zatrudniony na stanowisku magazyniera w Toruńskich Zakładach Przemysłu Nieorganicznego POLCHEM... Działalności związkowej nie zaprzestał.

- Piotra poznałem kiedy pracował regionie - wspomina Wiesław Skrzypczyński. - Jak zobaczyłem go w fabryce, to zdziwiłem się, że człowiek z wyższym wykształceniem pracuje jako robotnik...

Piotr każdą wolną chwilę starał się poświęcać rodzinie. Absorbowały powtarzające się wizyty u lekarzy. Rodzice dziecka żyli w nieustannym, koszmarnym napięciu. Bezradni wobec niewiadomego. Zawieszeni między rozpaczą a nadzieją.

W końcu przyszedł dzień, gdy nadzieja zgasła. Pawełek zmarł w trakcie sześciogodzinnej, skomplikowanej operacji serca w Centrum Zdrowia Dziecka.

PRZETRAŃCONY KRĘGOSŁUP POETY

Porucznik nie ukrywał miejsca swojego zatrudnienia. Chcąc jednak uspić czujność Hryniewicza zapewniał, że w SB jest jedynie szarym pracownikiem. Rzeczywistość odbiegała od autoprezentacji.

Absolwent rocznego Studium Podyplomowego Akademii Spraw Wewnętrznych w momencie poznania szwagra swojego podwładnego, nie zajmował jeszcze stanowiska wpływowego zastępcy naczelnika wydziału. Ten awans otrzymał trochę później. Podówczas miał posadę kierownika sekcji, zajmującej się stowarzyszeniami i zakonami w tak zwanym wydziale kościelnym.

Służba Bezpieczeństwa nie należała do instytucji, w której stanowiska przydzielano pracownikom bez zasług. Kuczkowski miał opinię funkcjonariusza pracowitego, lubiącego się wykazać w pracy. Niektórzy przypinają mu łatkę karierowicza, działającego bez skrupułów. Inni dodają, że był osobnikiem niebezpiecznym, o cechach wręcz diabolicznych, którego towarzystwa współpracownicy się wystrzegali.

Jeszcze podczas studiów - wraz z żoną, także polonistką - ujawniał ambicje literackie. Wspólnie z innym studiującym małżeństwem, założyli nawet grupę literacką Megaron. Publikowali na kolumnach literackich pism studenckich. Miało to jednak miejsce dawno temu, bo w połowie lat siedemdziesiątych. Później Kuczkowski, pnący się po szczeblach kariery zawodowej oficer SB i ceniony towarzysz wykładowca Wojewódzkiego Uniwersytetu Marksizmu-Leninizmu, dalej pisywał teksty, ale nie mające raczej nic wspólnego z literaturą.

Czy założył teczkę tajnego współpracownika również swojej małżonce? A może utrzymywał ją w charakterze tak zwanej martwej duszy?

Nie. Sąd podczas żadnej z rozpraw toczących się przy drzwiach zamkniętych, nie zadał oskarżonemu porucznikowi byleż SB tego rodzaju pytania. Wspominam o tym jednak nie bez przyczyny.

Żona nie pozostawała w tyle i - można powiedzieć - awansowała równolegle z mężem. W roku 1980 pracowała jako starszy inspektor ds. wyróżnień pozamaterialnych w dziale kadr największego toruńskiego przedsiębiorstwa: Zakładów Włókien Chemicznych ELANA. Jednak w lutym 1981 roku została przyjęta na etat do Komisji Zakładowej NSZZ SOLIDARNOŚĆ. Mając bodajże dwuletnie doświadczenie w pracy korektorki, pomagała ochoczo w wydawaniu zakładowego biuletynu związku.

W stanie wojennym nie została internowana, jak wielu związkowców. Już w pierwszym roboczym dniu stanu wojennego, 14 grudnia 1981 roku, dostała posadę samodzielnego referenta ds. socjalnych. Dziesięć dni później, odeszła z fabryki w trybie błyskawicznym i tajemniczym. Została nauczycielką języka polskiego w jednym z liceów.

W czasie procesu grupy OAS, sąd nie zajmował się sposobami ewentualnego werbunku

żon oskarżonych. Pozostaje niezbadany stopień usług małżeńskich na tym polu. Nie ma potwierdzenia, żeby dawna liderka grupy literackiej Megaron w ogóle była tajnym współpracownikiem, a jeśli tak, to czy uważano ją za cennego agenta. Nie jest również jasne, czy dla stworzenia odpowiedniej legendy w środowisku pracowniczym, nie skreślono jej w jakimś momencie z rejestru TW i - dla lepszego zakonspirowania - nie uczyniono figurantem w sprawie operacyjnego rozpracowania.

Opinie tu przedstawione, udział w porwaniach i torturowaniu ludzi, poniekąd kolidują z sylwetką Kuczkowskiego, prezentowaną na użytek prywatny. Miał sprawiać wrażenie człowieka wyciszonego, niekiedy nawet kulturalnego i sympatycznego. Z tym że - oczywiście - jedno nie wyklucza drugiego. Może zachowywał się jak zawodowiec; zawsze na służbie. W miejscu pracy znany był z pryncypialnych poglądów politycznych. Jego opcje nie budziły wątpliwości. W oficjalnych ocenach posługiwał się tylko dwoma kolorami: białym i czarnym. Należał do czołowych publicystów ideologicznych periodyku funkcjonariuszy milicji Nasze Sprawy, gdzie pisał *Zagraniczni mocodawcy kontrrewolucji w Polsce nie przyznają się do klęski, którą ponieśli 13 grudnia i ponoszą każdego dnia, kiedy to „bezsilna władza” przetrąciła kontrrewolucji kręgosłup zbudowany z marzeń o wielkości...*

Fragmenty twórczości porucznika dowodzą, że nie należał do szarych funkcjonariuszy SB, jak skromnie się przedstawiał. Przeciwnie. Zawsze w postawie „na baczność”. Karny i posłuszny. Wyróżniał się na wielu polach. Z gamą pomysłów, jak najskuteczniej walczyć z przeciwnikami reżimu.

Radość, że 13 grudnia 1981 roku władza *przetrąciła kontrrewolucji kręgosłup, zbudowany z marzeń o wielkości*, znalazła odzwierciedlenie w jego karierze zawodowej. Dostał kolejny awans. Selekcjonerzy powołali go w skład utajnionej, elitarnej grupy specjalistów, nie stroniących od klasycznych metod terroryzmu politycznego.

Niespełniony poeta przetrącił sobie kręgosłup i wkroczył na drogę wiodącą ku ławie oskarżonych.

PRASA ATAKUJE OFIARY PORWAŃ

Sensację zapowiadano od pierwszych dni procesu. W kuluarach przebąkiwano o niej najpierw dyskretnie, mimochodem, lecz z każdą kolejną wokandą wyraźniej, aż po całkowitą otwartość, prezentowaną przy dziennikarskim stoliku, w sądowym barze. Niektórzy wysłannicy lokalnych gazet, prognozowali kompromitację oskarżenia i całkowity zwrot w procesie.

Z ławy obrońców nastąpił ewidentny przeciek do dziennikarzy. Adresowany

wybiórczo. Do prowincjonalnych sędów, łasych na sensację za wszelką cenę. Obrona miała dysponować rewelacyjnymi materiałami, przedstawiającymi w niekorzystnym świetle niektórych pokrzywdzonych. Początkowo spekulowano o rychłym skompromitowaniu w świetle jupiterów dwu osób. Kilka tygodni później, nastąpiła w powtarzanej plotce redukcja do jednego z pokrzywdzonych, występującego również w charakterze oskarżyciela posiłkowego.

Część dziennikarzy dążyła do odwrócenia uwagi opinii publicznej od ławy oskarżonych. W rozmowach kuluarowych nie potrafili ukryć swoich preferencji. I nie ofiary mogły liczyć na empatię przedstawicieli mediów. Trwało oczekiwanie na skandal, sensację. Oczekiwanie na spotkanie oskarżyciela publicznego, albo kogoś z ławy pokrzywdzonych. To odciągało uwagę sprawozdawców sądowych od meritum. Efekty, można powiedzieć - przyszły natychmiast.

Dziennik NOWOŚCI: ...sąd przy drzwiach zamkniętych odczytał zeznania Marka Kuczkowskiego. Wyłączenie jawności nastąpiło nie, jak napisaliśmy, z ważnych względów prywatnych oskarżonego, lecz pokrzywdzonego Antoniego Mężydły. W tym też kontekście należy umieścić stanowisko obrońcy oskarżonego Marka Kuczkowskiego - adwokat Marii Jackowiak, która stwierdziła, że nie widzi powodów, dla których jawność rozprawy w tej części miałaby zostać wyłączona. Za pomyłkę przepraszamy panią mecenas i Czytelników.

GAZETA WYBORCZA: ...w Ministerstwie Sprawiedliwości dowiedzieliśmy się, że oskarżony Marek Kuczkowski pomógł w sądzie Antoniego M. o współpracę z SB.

Prawdą jest, że sąd zarządził utajnienie rozprawy na czas odczytywania złożonych w śledztwie zeznań oskarżonego Kuczkowskiego. Prokurator, ani oskarżyciele posiłkowi, ani ich pełnomocnik nie kwestionowali decyzji. Protestowała mecenas Maria Jackowiak. I to jest ostatnia prawdziwa informacja w zacytowanych przekazach prasowych.

- Uczestniczyłam w utajnionej rozprawie i stanowczo protestuję przeciwko dezinformacji redaktora naczelnego dziennika NOWOŚCI i podległego mu personelu oraz GAZETY WYBORCZEJ - powiedziała w dniu publikacji zrozpaczona Zofia Jastrzębska-Mężydło, oskarżyciel posiłkowy.

- Rozprawa została utajniona z ważnych względów prywatnych nie mojego męża, lecz innego pokrzywdzonego, którego oskarżony pomógł o współpracę z SB.

Antoni Mężydło nie ukrywał zaskoczenia i zbulwersowania publicznymi pomówieniami pod swoim adresem:

- Mimo usiłowań funkcjonariuszy komunistycznej bezpieki, nigdy im nie uległem. Nie tylko nie zwerbowali mnie na tajnego współpracownika, ale i nie odważyli się pomówić o współpracę ze Służbą Bezpieczeństwa. A czego doczekałem się w trzeciej Rzeczypospolitej?

Do nieprawdopodobnego, cynicznego oszczerstwa posunęli się dziennikarze wolnych - podobno - mediów! Czy ja poświęciłem kawał życia po to, żeby ludzie zasługujący jedynie na miano pismaków, obrażali mnie i dyskredytowali przy okazji procesu, w którym występuję w charakterze pokrzywdzonego?! To jakaś irracjonalna, paranoiczna gra.

Kilka dni po bezprzykładnym spostponowaniu przez niektórych dziennikarzy, Antoni Mężydło w dramatycznym wystąpieniu na sali sądowej apelował:

- Proszę, aby opinii publicznej przedstawiono zawartość mojej teczeki personalnej z MSW... Agent bezpieczeństwa w moim przekonaniu to coś gorszego niż etatowy funkcjonariusz tej instytucji... Dlaczego pomówienie nie nastąpiło tu, na sali sądowej, gdzie łatwo o wyjaśnienie, tylko na łamach gazet, gdzie trudno o sprostowanie?... Fakt zdjęcia jawności rozprawy nie może upoważniać przedstawiciela prawa ani dziennikarzy do uprawniania manipulacji...

Składowi orzekającemu, także trudno było ukryć zbulwersowanie rażącym brakiem profesjonalizmu niektórych relacji prasowych. Sędzia przewodniczący wyraźnie zażenowany zaistniałą sytuacją, tłumaczył, że zgoda na nagrywanie przebiegu jawnej części rozprawy, wydana została dziennikarzom właśnie w celu uniknięcia ewentualnych zniekształceń w sprawozdaniach. Następnie w sposób jednoznaczny stwierdził, że rozpowszechnione przez niektóre dzienniki informacje, dotyczące rzekomego wyłączenia jawności rozprawy ze względu na ochronę dóbr osobistych Antoniego Mężydły - są z gruntu nieprawdziwe.

Odpowiedzi wymagały przynajmniej trzy pytania:

Kto z obecnych na sali sądowej wyniósł reglamentowane informacje?

Kto i dlaczego podmienił personalia osoby pomówionej?

Dezinformacja miała charakter celowy czy przypadkowy?

Antoni Mężydło nie ukrywał zdegustowania:

- Interweniowałem w redakcjach natychmiast po opublikowaniu steku tych nieprawdziwych informacji. Niestety. Żadna z gazet ani mnie nie przeprosiła, ani nie zamieściła sprostowania. Dziennikarze dokonali więc na mnie linczu całkowicie bezkarnie. Jak tak może być?! Nie wiem, kto inspirował ani kto sterował obrzydliwym atakiem dziennikarzy na nas. Jednak to, co uczyniono zwłaszcza w NOWOŚCIACH oraz w GAZECIE WYBORCZEJ, dowodzi, jak silne wpływy w wymienionych zespołach redakcyjnych posiada obóz polityczny identyfikujący się albo wręcz związany z ludźmi, którzy w tym procesie zajmują ławę oskarżonych.

Rozgoryczenie pokrzywdzonego miało uzasadnienie. Kilka lat przedtem uprowadzony, bestialsko torturowany i upokarzany przez oficerów Służby Bezpieczeństwa - nagle zaprzyjaźnionym nawet osobom musiał tłumaczyć, że nie jest przysłowiowym wielbłądem...

To nie koniec ponurego spektaklu. Dalszy ciąg procesu dowiódł, że Mężydło nie był wcale ostatnią ofiarą mediów.

DZIENNIKARZE NIE ODRABIAJĄ LEKCJI

Nadszedł wieczór, 4 października 1991 roku. Minęła dziewiąta godzina składania wyjaśnień przez pokrzywdzonego Piotra Hryniewicza. Obrońca oskarżonego Kuczkowskiego, mecenas Maria Jackowiak wniosła o ujawnienie i zaliczenie w poczet dowodów w sprawie kilku dokumentów. W praktyce procesowej - niby nic szczególnego. Z tym, że chodziło o dokumenty oznaczone klauzulą: tajne-specjalnego znaczenia.

Poszarzałe twarze oskarżonych zmieniły w jednej chwili wyraz. Pojaśniały. Jakby po cudownym liftingu. Oskarżony Misz powiódł po sali wzrokiem tryumfatora. Odprężony, z obliczem wręcz pogodnym. Podobna metamorfoza widoczna na twarzy eksporucznika Kuczkowskiego. Wszyscy oskarżeni wymienili spojrzenia z obserwującymi konsekwentnie proces przedstawicielami swoich rodzin.

Żony niektórych oskarżonych cały procesowy dzień wesoło komentowały odpowiedzi Hryniewicza. Na zapudrowanych twarzach pań, wyraźnie kreską wyeksponowana kpina, lekceważenie i ostentacyjna pogarda. Czekały na jego cywilną śmierć.

Pokrzywdzony zakwestionował autentyczność dokumentów przedstawionych przez obronę. Najpierw zażądał skonfrontowania materiałów obrony z zasobami Archiwum „C” MSW. Następnie złożył wniosek, aby sąd poddał dokumenty stosownej ekspertyzie, szczególnie na okoliczność czasu ich powstania.

Ongiś raczkujący poeta, później oficer SB, obecnie oskarżony Marek Kuczkowski, wbudował w fundament swojej obrony tezę, której publiczne przedstawienie spowodowało szereg implikacji, wykraczających daleko poza salę rozpraw. Oskarżony publicznie stwierdził, jakoby Hryniewicz wcale nie był ofiarą bezprawnego porwania, lecz uczestnikiem sfigowanego uprowadzenia. Miała się odbyć świadoma, w pełni zainscenizowana gra operacyjna. Oskarżony twierdził, że świadomie i celowo wybrał do głównej roli Hryniewicza:

- On był moim nadzwyczaj cennym agentem. Postanowiłem stworzyć mu jeszcze wspanialszą legendę w jego środowisku. Jednocześnie, poprzez symulację uprowadzenia, miał być precyzyjnie zakonspirowany w tajnych strukturach naszej służby - sugerował oskarżony.

Od razu nasuwały się wątpliwości. Porucznik Kuczkowski pracował w Wydziale IV, tak zwanym kościelnym. Dlaczego za tajnego współpracownika miałby wybrać sobie właśnie Hryniewicza? Osobę świecką, nie związaną w żaden sposób ze strukturami kościelnymi. Czyżby utrzymywał utajnione kontakty z hierarchią? Może był gościem na plebaniach?

Może należał do Opus Dei?

Sędzia Anna Hojło po przekazaniu sądowi kilku kartek papieru, mających zdekonspirować rzekomego agenta, zapytała, jak zwykle przytomnie:

- W jaki sposób oskarżony wszedł w posiadanie tych pism?
- Odmawiam odpowiedzi na to pytanie - odparł z cieniem uśmiechu.

Spośród dziennikarzy relacjonujących dla swoich mediów proces, prawie nikt nie zapoznał się z merytoryczną zawartością akt sprawy, liczących niewiele ponad dziesięć tomów. Prawda jest jeszcze bardziej kompromitująca. Dla większości owych „sprawozdawców sądowych”, przeczytanie nawet kilkudziesięciostronicowego aktu oskarżenia, okazało się przedsięwzięciem ponad siły.

- Chłopie, czy ja mam na to czas - stwierdził z doprawdy rozbijającą szczerością „sprawozdawca” lokalnego dziennika, podczas jednej z przerw w rozprawie.

Przypadek gremialnego nie odrobienia lekcji. W tej sytuacji mniej musiało dziwić, że od początku procesu gafa dziennikarzy - dosłownie - gonila gafę. Ze szkodą prawie dla wszystkich. Pokrzywdzonych w pierwszym rzędzie. Dla sądu i prokuratury. Wreszcie - obrony.

Kto odrobienia lekcji nie zaniechał i z aktami sprawy się zapoznał, nie mógł spodziewać się zapowiadanej sensacji. Lektura umożliwiała bowiem poznanie niuansów, a zwłaszcza nabycie wiedzy, o którą w sądowym barze raczej trudno. Z akt wynikało, że Kuczkowski starał się dowieść już w trakcie śledztwa, jakoby Hryniewicz kreował się na ofiarę porwania całkiem niezastuzenie. Były porucznik SB przekonywał prokuraturę, jakoby miał specjalną, w nadzwyczajny sposób utajnioną listę wyjątkowo cennych współpracowników, o których nie wiedział nikt, nawet jego przełożeni. Na prywatnej liście porucznika miał znajdować się właśnie Hryniewicz.

Papier jest cierpliwy. Prokurator zaś - musi być cierpliwy... W konfrontacji z innymi dowodami uzyskanymi w śledztwie, wersja Kuczkowskiego nie wytrzymała próby, co znalazło merytoryczne odzwierciedlenie w akcie oskarżenia.

Podjezany, jak wielu przed nim, usiłował posłużyć się znaną metodą naciągania faktów dla przedstawienia swojej osoby w możliwie korzystnym świetle. I tyle. Na sali sądowej - już w charakterze oskarżonego - ponowił próbę zdyskredytowania swojej ofiary.

Pytanie brzmiało: jak w tej sytuacji zachowa się sąd?

NAGONKA

Sposób obrony oskarżonego Kuczkowskiego wyraźnie zafascynował paru dziennikarzy

siedzących na sali rozpraw. Do tego stopnia, że miało miejsce zjawisko dotkliwego osłepienia umysłowego. Egzemplifikacja zjawiska nastąpiła zwłaszcza w kolejnych relacjach z procesu na łamach toruńskiego dziennika NOWOŚCI.

Najpierw redaktorzy informowali czytelników w wyeksponowanym na pierwszej kolumnie dziennika tytule publikacji: obrona ujawnia dokumenty świadczące o współpracy uprowadzonego Piotra Hryniewicza z SB. Tekst rozpoczynał tak zwany lead: w procesie, po czterech dniach zeznań świadków i pokrzywdzonych, doszło do zaskakującego zwrotu. Obrońca oskarżonego Marka Kuczkowskiego adwokat Maria Jackowiak wniosła o włączenie w poczet dowodów dokumentów wskazujących na to, że jeden z uprowadzonych Piotr Hryniewicz od 1981 roku był konfidentem toruńskiej Służby Bezpieczeństwa, działającym pod kryptonimem operacyjnym Ariadna 73-49....

Publikacja najpopularniejszego toruńskiego dziennika dokonała nagłego zwrotu, przesunięcia akcentów. Straciła na ważności ława oskarżonych ze sprawcami terrorystycznych porwań.

Dziennikarze doprowadzili do odwrócenia ról. Z ofiary, z człowieka pokrzywdzonego uczyniono de facto oskarżonego. Proces terrorystów z oficerskimi pagonami zszedł na drugi plan. Rozpoczął się bowiem publiczny spektakl nagonki i pośpiesznego osądzania ofiary porwania.

Na co liczył Hryniewicz występując w procesie w roli pokrzywdzonego i oskarżyciela posiłkowego i dlaczego w ogóle zgodził się grać rolę uprowadzonego działacza „Solidarności”? - pytał redaktor naczelny NOWOŚCI. - Jeśli jego porwanie było mistyfikacją - a wiele za tym przemawia - to Hryniewicz nie miał wyjścia. Sam wpadł we własne sidła.

Zasiadając na sali sądowej po przeciwnej stronie swoich mocodawców z SB liczył zapewne na to, że wszystkie kompromitujące go dokumenty i akta świadczące o jego współpracy z SB zostały zniszczone. Z tego, co wiemy, wielokrotnie go zresztą o tym zapewniano... Hryniewicz fatalnie się przeliczył...

Opinie wartościujące zawarte w cytowanym fragmencie tekstu w zasadzie nie pozostawiają wątpliwości. Autor skłaniałby się ku uniewinnieniu oskarżonych, przynajmniej od zarzutu bezprawnego pozbawienia wolności Hryniewicza. Postulat ten zdumiewał co najmniej po dwakroć.

Najpierw zastanawiać musiała odautorska pewność, zademonstrowana już na wstępie trudnego procesu. Znajomość dowodów zebranych przez oskarżenie raczej nie upoważniała do przypuszczenia, by prognoza ta miała szansę spełnienia. No tak, ale materiał dowodowy trzeba było zechcieć poznać przed rozpoczęciem procesu... Autorowi ponadto zupełnie widać nie przeszkadzało, że prawo prasowe zabrania publicznego prezentowania opinii w kwestii

rozstrzygnięcia w postępowaniu sądowym przed wydaniem orzeczenia w pierwszej instancji.

Żaden przedstawiciel lokalnych mediów nie dołożył dostatecznych starań, by poinformować odbiorców swojej dziennikarskiej twórczości o faktycznym skutku linii obrony oskarżonego Kuczkowskiego. Otóż dokumenty w zamyśle obrony, mające zaświadczać o rzekomo harmonijnej współpracy pokrzywdzonego Hryniewicza z SB, zaczęły koegzystencję z innymi, zgromadzonymi w opasłej teczce zatytułowanej: Sprawa Operacyjnego Rozpracowania pod kryptonimem Listonosz, znajdującymi się w aktach sądowych.

To akta sprawy, w której figurantem był Piotr Hryniewicz. Służba Bezpieczeństwa wszczęła postępowanie w celu zgromadzenia ewentualnych dowodów potwierdzających, że Hryniewicz jest jednym z czołowych kolporterów publikacji zakazanych przez władze. Ustalenia ze sprawy Listonosz, przekazano grupie operacyjno-śledczej kapitana Misza zaraz po jej powołaniu.

Lokalni dziennikarze starannie pominęli ten wątek w swoich relacjach z procesu. Zachodzi pytanie o racjonalne przyczyny takiego postępowania w kontekście rzetelności zawodowej. Dlaczego sprawozdawcy sądowi nie podali do publicznej wiadomości implikacji wynikających z faktu nagłego zaistnienia koegzystencji w aktach procesowych jednych i drugich dokumentów?

OSKARŻONY WSPINA SIĘ NA SZCZYT BEZCZELNOŚCI

Schemat zaproponowany przez byłego porucznika SB w postaci pomówienia pokrzywdzonego o tajną współpracę, prostą drogą prowadził do groźnych skutków. Tego rodzaju pomówieniem mógł zostać obdarowany w zasadzie każdy. Nie tylko wobec publiczności na sali sądowej. Szlak szkalowania i obrzucania błotem niewinnych, przecierał pracowicie od zarania III RP Jerzy Urban, będący wciąż niedoścignionym wzorem dla wcale licznej grupy pracowników mediów.

Dowody? Cóż za pytanie... Dowodów - najlepiej jak najmniej.

Że dowody nie są mocne, albo całkiem słabe i wątpliwe?... Niedoskonałość, czy brak dowodów można przecież zinterpretować jako z góry założone działanie oficera bezpieczeństwa, prowadzącego rzekomego tajnego współpracownika. Działanie mające na celu jego wyjątkowo staranne, głębokie zakonspirowanie, poprzez przydzielenie mu odpowiednio wyeksponowanej roli w wymyślonej grze operacyjnej.

Przypomina się brodata ze starości anegdota, powtarzana przez pokolenia prawników:

- Jaki jest szczyt bezczelności?
- Zamordować rodziców, a w ostatnim słowie prosić o łagodny wymiar kary dla sieroty.

Proces toruńskiej OAS dostarczył przykładów, że były porucznik SB zmierzał tak ambitnie do osiągnięcia przysłowiowego szczytu bezczelności, aż w końcu się nań wspiął.

Postępowanie oficera bezpieczeństwa wobec Piotra Hryniewicza, nie mieściło się w żadnych przepisach prawa. Prawa Służby Bezpieczeństwa również. Porucznik nie powinien prześladować, dręczyć i porywać z ulicy nikogo. Nawet agenta in spe.

Od zarania III Rzeczypospolitej, uważający się za kompetentnych przedstawicieli reżimowego MSW, lewicowych partii politycznych, wspierani przez rzeszę antyustratorów, karmią społeczeństwo informacjami, jakoby bezpowrotnie zniszczono większość materiałów operacyjnych SB. Zapewnienia te nie całkiem odpowiadają prawdzie.

Funkcjonariusz SB, wytwarzający dokumenty dotyczące tajnej agentury, miał w każdej chwili do nich dostęp. Bez ryzyka popełnienia błędu można przyjąć, że mógł także zanieść dokumenty do domu i założyć prywatne mini archiwum SB. Porucznik Kuczkowski zabawiał w śledztwie panią prokurator naiwnymi opowiastkami, jakoby materiały operacyjne jedynie wypożyczył z firmy... I to na polecenie ówczesnego szefostwa. Nikt jednak nie potwierdził jego wersji. Nikt, to znaczy szefostwo także.

Pułkownik Jerzy Karpacz, ostatni szef byłej SB, indagowany na okoliczność zgodności z prawem oraz ewentualnych następstw ujawnienia tajnych dokumentów resortu, które powinny znajdować się w archiwum MSW, zauważył przede wszystkim, że jest to czyn bezprawny:

- Każdy, kto decyduje się na ten krok, bez względu na intencje, narusza prawo. Jest to nie tylko czyn bezprawny, ale również moralnie naganny. Narusza dobra osobiste tych, których nazwiska znalazły się na liście agentów.

Z kolei Krzysztof Kozłowski, szef MSW w rządzie Tadeusza Mazowieckiego, wyraził przypuszczenie, że materiały, które znalazły się w toruńskim sądzie, „prawdopodobnie” zostały bezprawnie wykradzione przez byłych funkcjonariuszy SB:

Czyn naganny moralnie... Wchodzenie w sferę etyki z punktem odniesienia do osób siedzących na ławie oskarżonych pod zarzutem uprowadzenia, szczególnego udręczenia i grożenia śmiercią bliźnim... Owszem. Moim zdaniem może to być zamysłem interesującym poznawczo, lecz praktycznie ryzykownym, o ile nie skazanym na niepowodzenie.

Oskarżony Kuczkowski, ujawniając zasoby prywatnego archiwum, pomógł człowieka o współpracę z resortem. Inaczej mówiąc - bez pytania kogokolwiek o zgodę, za pośrednictwem swojego obrońcy, ujawnił dokumenty, które według wykładni urzędu ministra - miały być tajne. Oskarżony Kuczkowski w sądzie mógł bronić się w sposób, jaki uznał za najbardziej mu odpowiadający. I raczej nie należy odeń wymagać przestrzegania zasad etyki chrześcijańskiej. Wybrał sposób obrony polegający nie tylko na wylaniu kubła pomyj na

ofiarę. Miał ponadto potrzebę zdyskredytowania i poniżenia drugiego człowieka. Nie sądzę, by mieściło się to w granicach prawa do obrony.

Ktoś zapyta: a zasady etyczne? Zapomnijmy. Oficer byłej SB pokazał, iż respektowanie podstawowych zasad etycznych przekracza jego możliwości. Sfera niedostępna. Obca.

GILOTYNA DLA OFIARY

- Piotr Hryniewicz nie żyje. Powiesił się.

Hiobowa wieść przebiegła fabrykę błyskawicznie. Szokowała. Nie należał do osób anonimowych. Działacz SOLIDARNOŚCI. Przewodniczący Rady Pracowniczej.

Nieznani, ale dobrze zorganizowani kurierzy, zawiadomili o tragicznej śmierci męża Aurelię Hryniewicz.

Zdarzenia miały miejsce 11 października 1991 roku. A więc po publikacjach o rzekomym tajnym współpracowniku SB na łamach lokalnego dziennika.

Informacje o śmierci Hryniewicza okazały się niesprawdzone i zdecydowanie przedwcześnie. Nieznani kurierzy jednak nie próżnowali. Nieco później z kolei ktoś zatelefonował do niego z wiadomością:

- Powiesiła się pana żona.

Liczni pracownicy fabryki odbierali powtarzające się telefony z prośbą:

- Z Ariadną poproszę.

Napis: Ariadna, nieznani sprawcy wykonali sprayem na ścianie korytarza wieżowca, ze strzałką w kierunku drzwi mieszkania Hryniewiczów. Innym razem na drzwiach nieznana ręka wykaligrafowała: Tu mieszka agent. Nie trzeba było kwalifikacji grafologa, by odkryć, że nie była to ręka dziecięca.

- To wszystko szokowało - wspomina Piotr Hryniewicz. - Zakłócało życie. Szarpało nerwy. Jednak zdecydowanie najgorsza była cisza, jaka zapadała wokół mnie w zakładowym autobusie, którym jeździłem do pracy i wracałem do domu po jej zakończeniu. Ta autobusowa cisza, stanowiła dla mnie gehennę trudną do opisanania.

7 października 1991 roku, prokuratura objęła osobnym badaniem okoliczności poprzedzające ujawnienie przez oskarżonego byłego porucznika SB tajnych materiałów najtajniejszego z resortów. Jedną z pierwszych czynności prokuratorskich było wystąpienie do MSW o formalne, prawne potwierdzenie prawdziwości ujawnionych dokumentów. Ze swej strony sprawą zajęła się także Delegatura Bydgoska Urzędu Ochrony Państwa, którą kierował Zbigniew Nowek.

Bez względu na plan pracy UOP, nie czekając na efekty postępowania prokuratorskiego, a przede wszystkim na ocenę przedstawionych dowodów przez sąd - wyrok już został wydany i bezzwłocznie ogłoszony. Powiedzieć trzeba jeszcze więcej: odbyła się nawet pośpieszna publiczna egzekucja. Dramat rozpisano na kilka aktów.

Nie wierzę w zapewnienia Jaruzelskich, Kiszczaków i współtowarzyszy z centrali, starających się utrwalić przekonanie, że działacze ówczesnej opozycji przypadkowo uprowadzano, terroryzowano i pozbawiano życia w niewyjaśnionych okolicznościach. A w najgorszym razie z powodu samowolnych działań desperatów, frustratów bądź idealistów, należących do grupy młodszych oficerów MSW.

Z drugiej strony jednak, nie wierzę także, iż w roku 1984 gros Polaków charakteryzowała taka pryncypialność i odwaga, że gotowi byli artykułować bez obaw i strachu zarzuty pod adresem władzy, osobiście - tajnych służb. Naprawdę niewiele było osób zdeterminowanych, gotowych jawnie walczyć z władzą tuż po stanie wojennym. Elitarne grono dziennikarzy także posiadało w tej dziedzinie raczej deficyt, niż nadmiar odwagi.

I teraz, kiedy z każdym rokiem nabierają barw legendy kombatantów najnowszej historii, kombatantów, których szeregi rosą w tempie wprost proporcjonalnym do upływającego czasu, warto przypomnieć prawdę niezbyt popularną. Otóż u schyłku pierwszej połowy lat osiemdziesiątych XX wieku, Polacy w swej masie byli narodem zastraszonego i sterroryzowanego. Ludzie się bali i mieli czego się bać. Mogły się również bać ofiary porwań toruńskich.

Zofia Jastrzębska, Piotr Hryniewicz, Gerard Zakrzewski i Antoni Męzydło, mieli uzasadnione podstawy do niepokoju, nie tylko o swoje życie, lecz także życie swoich bliskich. Hryniewiczowi terroryści grozili uśmierceniem dziecka w przypadku ujawnienia uprowadzenia. Każda z ofiar porwań, podkreślam: każda - na swój sposób przeżywała możliwość spełnienia gróźb cynicznych porywaczy. Wszyscy przyznają, że żyli w strachu przed spełnieniem gróźb. To normalne. Ludzkie. Nie widzę konieczności używania aptekarskiej wagi do ustalenia, która z ofiar bała się bardziej, a która mniej.

Nieprawda, że Piotr Hryniewicz najdłużej z czworga uprowadzonych osób nosił się z zamiarem jej zawiadomienia. Jest to całkowita nieprawda. Rzeczywistość miała się całkiem inaczej. On napisał zawiadomienie do prokuratury jako pierwszy z pokrzywdzonych.

LUDZIE SĄDZENI, NIE SŁUŻBA

- Wpierw zażądali informacji o lokalizacji drukarni podziemnych wydawnictw.. Od kogo otrzymuję nielegalnie drukowaną prasę... Pytali komu i gdzie przekazywane są

pieniądze ze składek członkowskich... Nie chciałem odpowiedzieć, więc stali się agresywni.

- Nie denerwuj mnie, bo pożałujesz! - groził wyższy z mężczyzn, kładąc dłoń na rękojeści pistoletu.

Wieczór zapadał szybko. Ciemności i cisza odosobnionego miejsca potęgowały wizję scenariusza najczarniejszego z czarnych. Nie miał wątpliwości, w jakim celu mężczyzna powtarza scenę z pistoletem:

- Bałem się, że w końcu sięgnie po broń i we mnie wyceluje.

Porywacze nie pozostawiali złudzeń, rozdygotanej z zimna i roztrzęsionej ze strachu ofierze. W ciągu kilku godzin Gerard Zakrzewski dowiedział się o kilku możliwych wariantach pozbawienia go życia.

- Grozili, że zniknę bez śladu. Przekonywali, że mnie już właściwie nie ma. Tłumaczyli, że dwieście osób rocznie ginie bez wieści, więc ja mogę być dwieście pierwszy...

Z czasem do pogroźek dołączyli inni prześladowcy. Jeden z napastników zapytał:

- Umiesz pływać pod lodem?

- Jezioro znajdowało się w pobliżu. Obok właściwie. Rozwazałem także możliwość, że mogą zechcieć mnie utopić. Co jakiś czas powtarzali:

- I tak dostaniesz czapę...

- Jak znikniesz - kto wie. Może nawet będziemy pomagać w poszukiwaniach. Tylko, że ciebie i tak nikt nie znajdzie.

Od początku nie miał złudzeń, kim są porywacze. Sam sposób zatrzymania oraz atrybuty: kajdanki, pistolety, wreszcie - dobra znajomość struktur podziemia oraz ostentacyjnie ponawiane zapewnienia o swojej bezkarności, staniu ponad prawem, to wszystko było aż nadto przekonywające.

Gerard Zakrzewski odtwarzał wydarzenia z 21 lutego 1984 roku głosem spokojnym, precyzyjnie. Relacja robiła wstrząsające wrażenie. W wypełnionej publicznością sali rozpraw toruńskiego sądu zalegała absolutna cisza. Wtem głos zeznającego mężczyzny dramatycznie załamał się. Z oczu pociekły łzy. Przewodniczący składu orzekającego zarządził przerwę w rozprawie...

Hryniewicz powiedział mu o swoim uprowadzeniu:

- On początkowo bał się ujawnić, że zna jednego z porywaczy, bo zagrozili mu śmiercią dziecka... Żeby zabezpieczyć się przed ewentualną zemstą, rozważaliśmy napisanie zażalenia do Prokuratury Generalnej oraz zawiadomienie Episkopatu Polski. Napisaliśmy je ręcznie, a pani Gertruda Przybylska - z akcji charytatywnej przy parafii Najświętszej Marii Panny - przepisała je na maszynie. Inspiratorem napisania tych zawiadomień był Piotr Hryniewicz... Poznałem go, jak rozpoczął pracę w naszym zakładzie. Miałem do niego

zaufanie i czułem sympatię.

Gerard Zakrzewski pamiętał przebieg przesłuchania prokuratorskiego sprzed sześciu lat:

- Miałem wówczas odczucie, że prowadzący przesłuchanie prokurator próbuje ode mnie wyciągnąć wiadomości, jakich na temat ówczesnego podziemia politycznego, nie wycisnęli ze mnie porywacze. Prokurator jakoś nie za bardzo chciał dowiedzieć się szczegółów na temat porwania.

Oprawcy wrywali Mężydle kosmyki włosów. Do zasłoniętych oczu przystawiali zapaloną latarkę. Do głowy zaś lufę pistoletu. W ciągu kilkudziesięciu godzin ani razu nie pozwolili mu na wykonanie w sposób przyjęty czynności fizjologicznych. Po uwolnieniu przez porywaczy znajdował się w kiepskim stanie psychicznym i fizycznym. Ale jednocześnie bardzo się cieszył.

- Z czego?

- Że żyję.

Na rękach miał zaczerwienienia po kajdankach. Mecenas Krzysztof Węgierski chciał jednak jeszcze wiedzieć, czy pokrzywdzony miał widoczne pręgi na plecach.

- Nie wiem. Wie pan, ślady na plecach samemu trudno zobaczyć.

To, co w śledztwie i w czasie rozprawy mówili pokrzywdzeni działacze NSZZ SOLIDARNOŚĆ, wskazywało w sposób wyraźny na miejsce zatrudnienia porywaczy. Na ławie oskarżonych nie osadzono jednak instytucji o nazwie Służba Bezpieczeństwa, tylko konkretnych ludzi w niej zatrudnionych. Trwał proces kryminalny, nie polityczny.

I ludzie byli sądzeni. Nie służba. Ludzie, którzy dopuścili się nie tylko czynów łajdackich, niegodnych, ale i przestępczych.

Proces dotyczył zwykłych przestępstw kryminalnych. Mimo starań zmierzających do zatarcia śladów, dzięki drobiazgowej pracy prokuratury, udało się odtworzyć przebieg przestępczych zdarzeń i znaleźć sprawców. Chociaż, mimo starań, nie udało się postawić w stan oskarżenia nikogo z kierownictwa, przełożonych panów oskarżonych.

Komplet publiczności na sali rozpraw. Sędzia Anna Hojło podkreśla nader wyraźnie i stanowczo, że nie ma podstaw do uznawania Piotra Hryniewicza za tajnego współpracownika SB. Nie skąpi też cierpkich uwag pod adresem dziennikarzy za brak obiektywizmu niektórych relacji procesowych, w których pokrzywdzonego przedstawiono nierzetelnie i w krzywdzący sposób:

- Dziennikarze relacjonując to wydarzenie, nie wykazali niezbędnego obiektywizmu – podkreśliła. - Za to wykazali się nieznajomością prawa prasowego, dokonując oceny faktów i dokumentów w sposób wybitnie niekorzystny i krzywdzący dla Piotra Hryniewicza.

Doczekał w końcu nieco słońca w swoim niepokojnym nieszczęściu. Tę zmianę pogody zafundowała mu wpieryw prokurator Grażyna Roszkowska, obnażając manipulacje oskarżonego Kuczkowskiego, a w finale procesu - sąd.

Trzyosobowy zespół orzekający zaprezentował niecodzienny w polskich sądach profesjonalizm, zechciał bowiem wejść na szlak wówczas, na początku lat dziewięćdziesiątych XX wieku - całkiem nieprzetarty. Sędziowie: Anna Hojło i Andrzej Walenta pod przewodnictwem Lecha Gutkowskiego, by zbadać wiarygodność pomówień byłego porucznika SB, wykorzystując wszelkie dostępne środki i możliwości, przełamując mur niechęci funkcjonariuszy dawnego MSW, sumiennie i fachowo zmierzali do wyjaśnienia casusu Hryniewicza.

- Sąd zdecydowanie wykluczył możliwość jego współpracy z oskarżonym Kuczkowskim - stwierdziła sędzia Anna Hojło. - Sąd wykluczył również, by Piotr Hryniewicz był rzeczywistym tajnym współpracownikiem SB.

Działacz NSZZ SOLIDARNOŚĆ skazany na śmierć cywilną przez byłego porucznika SB i kilkoro dziennikarzy, doczekał należnej mu satysfakcji. Mógł wreszcie odetchnąć nieco swobodniej.

- Koszmar chyba się zakończył – pomyślał. Wzruszony, podszedł nagle do stołu sędziowskiego i powiedział:

- Dziękuję.

Nie wiem czy można już mówić o zdjęciu z Hryniewicza fatalnego odium. Człowieka uwikłanego w życiowe przypadki, które toczyły się niezależnie od jego woli. Człowieka, którego życiorys można uznać za przykład nie jednostkowej egzemplifikacji zawiłości i meandrów losów Polaków schyłku XX wieku.

Otwarte pozostawało pytanie o implikacje wydanego nieco wcześniej całkiem innego wyroku, przed którego ogłoszeniem nie zawahała się grupka dziennikarzy. Rozkolportowali nieprawdziwą informację o zwerbowaniu Hryniewicza do współpracy z bezpieką. Publiczne rzucenie w bliźniego błotem sprawia, że późniejsze zabiegi rehabilitacyjne, mogą nie wywabić wszystkich plam. Jak zrehabilitować człowieka po publicznej egzekucji? Jak zrekompensować mu doznane krzywdy i upokorzenia?

Już po oczyszczającym Hryniewicza wyroku sądu, żaden z dziennikarzy, którzy go wcześniej zgilotynowali, nie pofatygował się z przeprosinami.